Nr. 43 Poznań, dnia 27 Października 1907 r. Rok XI.

PRACA

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Głos pana St. Turny.

Pan Stanisław Turno z Objezierza napisał w sprawie wywłaszczenia broszurę w języku niemieckim, a więc dla Niemców przeznaczoną, która wzbudziła wielkie zajęcie tak po stronie niemieckiej jak polskiej.

Broszurę tę uważamy za politycznie ważną enuncyacyę, gdyż sięga ona daleko poza zaznaczony w tytule temat i dociera do samego jądra rzeczy, a mianowicie do skłóconego i wręcz nienaturalnego stosunku, zachodzącego pomiędzy państwem a Polakami. Stosunek ten dla tego jest nienaturalnym, ponieważ naturalne zadanie państwa polega na tem, że państwo ma być tarczą i osłoną dla praw i uprawnionych właściwości wszystkich obywateli, a nie tylko jednej ich części, a choćby większości.

Głównym zamiarem autora jest przywrócić w Prusach taki naturalny i jedynie racyonalny stosunek pomiędzy państwem a nami. Pragnie przyczynić się do uśmierzenia radykalizmu i szowinizmu i doprowadzić nie do ugody, polegającej na ustępstwach zasadniczych ze strony naszej, lecz do *zgody* w myśl zasady chrześciańskiej, która za warunek stawia uszanowanie wszystkich praw, jakie obu narodowościom przysługują, a które złożone są bądź to w konstytucyach Prus i Niemiec, bądź w sumieniu, ogrzanem miłością bliźniego i oświeconem odwiecznemi prawdami nauki Chrystusowej.

Pewna gazeta niemiecka nazwała broszurę tę „eine Friedensschalmei.“ Miała słuszność zupełną. Autor pragnie pokoju, pokoju — jak pisze — honarowego t. j. takiego, na jaki zgodzić się mogą uczciwi Niemcy, któremu przyklasnąć mogą Polacy, szanujący swą godność jako ludzie i jako członkowie wielkiego i sławnego narodu, prawa którego pod żadnym warunkiem i za żadną cenę nie mogą być naruszone.

Kto pragnie, aby go traktowano jako równouprawnionego obywatela państwa, musi zaznaczyć, jakie stanowisko wobec państwa zajmuje. Ponieważ wrogowie nasi często niesłusznie nam zarzucają zdradzieckie wobec państwa zamiary i zarzut ten, jeżeli nie istotnie to formalnie walny w ich rękach stanowi atut, należało wygrać wyższą kozerę, wyprzeć się złych zamiarów wobec państwa i stanąć na stanowisku przynależności do państwa, co tem łatwiej uczynić było można, o ile pod tym względem nie ma żadnych pomiędzy nami wątpliwości. To samo bowiem uznanem jest w dwóch dalszych zaborach, a świeżo zupełnie szczerze i niedwuznacznie narodowo-demokratyczni posłowie z Królestwa w Dumie oświadczyli.

Nim p. Turno dał do druku swą pracę, przesłał ją znanemu wydawcy „Preuss. Jahrbücher“ prof. H. Delbrückowi i zapytał go, czy publikacya taka do umożliwienia przyszłego zawarcia pokoju niemiecko - polskiego przyczynić się może. Na pytanie to odpowiedział prof. Delbrück — bardzo gorący i rozumny patryota niemiecki — bezwzględnie potakująco. Pisze on, że dwudziestoletnia walka narodowościowa, żadnej z wojujących stron nie przyniosła korzyści; że własność ziemska nie rozstrzyga walk narodowościowych; że powszechnie przyjęło się zapatrywanie, iż myśl zgermanizowania 4 milionów Polaków jest złudzeniem. Niemcy — pisze prof. Delbrück — nie uprzytomniają sobie, że *nie można spodziewać się, przywiązania do państwa po ludności, którą na drodze ustawodawczej usiłuje się wyprzeć z własnej ziemi i której się zabrania prawa współdziałania przy rozstrzygnięciu pytania, w jakim języku mają się dzieci uczyć w szkołach, a nawet, w jakim mają odbierać naukę religii świętej.*

Następnie wskazuje prof. Delbrück, co się stać winno tak po stronie niemieckiej, jak polskiej, aby doprowadzić do porozumienia, lecz obawia się, że stanie się wręcz przeciwnie.

Na koniec wyraża szan. profesor nadzieję, że, jakkolwiek zagadnienie trudne jest do rozwiązania, to jednak ufa, iż będzie ono rozwiązane pomyślnie tj. że nastanie kiedyś czas, że Niemcy i Polacy w spokoju będą obok siebie żyli, nie stawiając sobie wzajem zapór i niepotrzebnych trudności.

List ten zamieścił autor na czele swego dziełka, jako przedmowę.

Następnie sam zabiera głos.

Wykazuje więc na wstępie, że projekt wywłaszczenia nie zgadza się ani z ustawą krajową ani z konstytucyą, *że kłóci się nie tylko z duchem, ale nawet z literą odnośnych ustaw.* Wykazuje, że raz uchwalona zasada wywłaszczenia w tych rozmiarach, może się kiedyś zwrócić przeciw obywatelom niemieckim, źle widzianym np. przeciw katolikom, żydom i t. p.

Następnie omawia polityczne i gospodarcze skutki, jakie by taka ustawa wywołała. Nie możemy tu powtarzać tych cennych i trafnych wywodów. Miło nam jednak zaznaczyć, że nie przeczytawszy jeszcze broszury pana Turny, już w artykule p. t. „Ustawy wyjątkowe“ w nr. 42 naszego pisma, podobne wygłosiliśmy zapatrywania, co do skutków tej ustawy na polu gospodarczem. A pod względem politycznym? Czy rząd pruski więcej może mieć zaufania do ludzi przybyłych z pod Uralu i Wołgi, nie czysto mówiących po niemiecku, nie odznaczających się żywszem poczuciem narodowo-niemieckiem, o niskiej kulturze materyalnej i intelektualnej, słowem do ludzi

obcych, aniżeli do dobrze mu znanych Polaków, których ojcowie i dziadowie rozlewali obficie krew na pobojowiskach austryackich i francuskich za niemiecką sprawę i od dzieci których może kiedyś podobnych zażąda się ofiar?

Wykazuje dlaczego Niemiec z zachodu opuszcza wbrew interesom niemczyzny dzielnice polskie, dla czego Polak trzyma się tej ziemi rękami i zębami. Otóż pierwszy przybył po to, aby się zbogacić, bo on nie pragnie u nas stworzyć sobie ojczyzny. Drugi namiętnie kocha tę ziemię potem i krwią ojców i dziadów zroszoną. Przytem i kolonizacya ważną odgrywa rolę, gdyż osamotnia wielkiego właściciela, Niemca czy Polaka, otaczając go żywiołem i obcym i kulturalnie i towarzysko niżej położonym.

W ten sposób dokonuje się zupełny przewrót stosunków. Podstawą pomyślnego rozwoju naszych dzielnic jest *dobre ustosunkowanie własności większej do mniejszej*, przyczem większa winna być przykładem pod względem kultury, podporą pod względem gospodarczym dla własności mniejszej. Tymczasem stosunek ten psuje się dzięki działalności kolonizacyi i ma być zupełnie zniszczony przez ustawę o wywłaszczeniu. Do tego dochodzi, że kolonista nie włada swobodnie swem mieniem, jest krępowany, gdy chodzi o kupno lub sprzedaż, a więc dla przedsiębiorcy polskiego czy niemieckiego, nie byłoby miejsca w dzielnicach polskich. Jak ukształtowałyby się losy landszafty i innych podobnych instytucyi, zastosowanych do obecnie panujących stosunków gospodarczych? Nie potrzeba być pesymistą, aby lęk odczuwać na te wszystkie pytania. Nie ulega też wątpliwości, że skutkiem wywłaszczenia upadłyby ceny ziemi, nastąpiłoby obniżenie kultury ziemi, przysłowiowa u Niemców „polska gospodarka'', o której dziś tylko w dobrem zrozumieniu tego słowa może być mowa, zawitałaby do nas w swej przykrej postaci.

Tak rozpatrzywszy skutki złowrogiej projektowanej ustawy, a wykazawszy jeszcze, że właśnie ludność siedząca na roli najspokojniejszą część spokojnego naszego stanowi społeczeństwa, przychodzi autor, a z nim wszyscy bezstronni ludzie, do przekonania, że projekt ten, jest *ze stanowiska prawnego złamaniem prawa i konstytucyi, z gospodarczego awanturą, z politycznego zaś uderzeniem w wodę.*

A jednak chcą zapaleńcy hakatystyczni nieszczęsny ten projekt urzeczywistnić, upatrując w nim konieczne zło, ostry środek przeciwko rozlewnemu parciu żywiołu polskiego. Kwestya polska — oto, co ma przez tę końską kuracyę być uleczonem.

Autor nie zaprzecza istnienia kwestyi polskiej, uważa ją za rzecz rozsądną, za rzecz przedewszystkiem istniejącą, która domaga się rozwiązania, inaczej może stać się — choć nie jest niem jeszcze — poważnem niebezpieczeństwem dla państwa. Tutaj w gorzkich słowach wyrzuca autor rządowi wszystkie krzywdy, jakie nas spotykają i w jasnych słowach skreśliwszy nasze prawno-państwowe stanowisko wzywa rząd, aby wreszcie zamiast z nieufnością i ustawami wyjątkowemi, zbliżył się do nas z „owsem'' równouprawnienia, dobroci i łagodności, aby wygasnąć mógł ogień narodowej walki, aby zabliźnić się mogły stare a rozognione rany.

Dlaczegożby narody nie miały dojść do zawarcia pokoju? Przecież obok nieprzejednanych żywiołów mamy jeszcze wszechchrześcian, którym od dziecka wpajano naukę: „kochaj bliźniego, jak siebie samego''. A co dziecko się nauczyło — to niechaj mąż w czyn wprowadza. W Szleswigu rozpoczęto politykę pojednawczą, dlaczego by jej u nas spróbować nie miano? Fale walki polsko-niemieckiej wysoko biją. Ani walczący ani państwo, które jest polem tej walki, nic po niej dobrego spodziewać się nie mogą. Czyby nie było na czasie chwycić się polityki pojednawczej, miasto nowe wyjątkowe ustawy ukuwać?

Ludność polska — powiada na końcu autor — chłodno spogląda na szamotania się hakatystów. Tyle przykrości, udręki i ustaw wyjątkowych doznaliśmy, że zapomnieliśmy prawie się oburzać i się dziwić. Do tego dochodzi świadomość, że najostrzejsze ustawy antypolskie nie zdołały nas złamać, owszem, *że potęgują tylko naszą siłę odporną.* A więc jesteśmy spokojni. I autor nie mniej od swych ziomków spokojnie patrzy w przyszłość w tem przekonaniu, że choć nawet ustawa o wywłaszczeniu by przeszła, o czem wątpi, to jeszcze nie nastąpi zmniejszenie polskiego narodo-

---

X. T. R.

Dzisiejsze zadanie katolicyzmu w Polsce.

II.*)

Po kwestyi religijnej najważniejszą jest dla każdego ludu kwestya narodowa i tylko na podstawie religijnej będzie ona trwałą i nieśmiertelną. Tylko religia może być dla narodu motywem i sprężyną walki o byt. I stąd też katolicyzm, mający z powołania swego wszystkie objąć narody, nigdy, mimo swej powszechności, nie przytłumiał ducha poszczególnych narodów, lecz go zasilał. Czyż tak nie było i u nas w Polsce? „Czem — pyta się *Dr. K. Krotoski* — był katolicyzm dla Polski w przeszłości? Patrzmy na fakty. Katolicyzm przyjęty przez Mieszka I,. chroni nas od losu ludów połarabskich. On nam dał niezawisłość kościelną od imperyalizmu germańskiego za Chrobrego. On kazał nam szukać pierwiastków europejskiej kultury u samego źródła na Zachodzie romańskim. On dał nam materyalną kulturę, szerzoną wraz z duchowną przez Benedyktynów, Norbertanów, Cystersów, Dominikanów, Franciszkanów i t. d. Katolicyzm okiełznał despotyzm pogański pierwszych Piastów, on wywalczył pierwsze swobody społeczeństwu polskiemu na przełomie XII. i XIII. wieku. W chwili zupełnego rozstroju w XIII. wieku katolicyzm podtrzymywał ideę jedności narodu. U trumny kanonizowanego biskupa Stanisława powstało hasło zjednoczenia Polski. Katolicyzm w osobie Pełki i Świnki ratował nas przed germanizacyą na przełomie XIII. i XIV. wieku. Katolicyzm pierwszy potępił moralnie zwyrodniały zakon krzyżacki, grożący naszej egzystencyi. Idea katolicka pchała Kazimierza W. do ratowania Rusi czerwonej z pod jarzma pohańców tatarskich i litewskich pogan. Ta sama idea zgotowała Polsce największy tryumf, pokojowe nawrócenie Litwy i jej unię z Polską przez chrzest Jagiełły i ślub jego z Jadwigą. Propaganda katolicka na Wschodzie, oto rodzicielka głównego ogniska cywilizacyjnego w Polsce, Almae matris Jagiellonicae. Sobór kostnicki dokonał moralnego pogromu średniowiecznej zachłanności germańskiej w krzyżackim kapturze, skruszonej na polach Grunwaldu. Katolicyzm polski urzeczywistnił w części czy w XV., czy XVI. wieku najdonioślejsze zadanie w dziejach chrześciańskiego społeczeństwa, tj. połączenie Kościoła zachodniego ze wschodnim. Katolicyzm odrodził i wzmocnił na czas pewien rozprzężone rewolucyą reformacyjną społeczeństwo polskie w XVI. wieku. Katolicyzm uczynił Polskę przedmurzem chrześciaństwa w XVII. wieku, dał

*) Przedruk z „Przeglądu kościelnego.“

wego mienia, tylko przesunięcie jego punktu ciężkości w inną stronę.

Przy dzisiajszej walce Polacy naprawdę nie wyszli źle i w przyszłości też źle nie wyjdą, lecz mimo to należy się starać o zakończenie walki, *jeżeli obyczaje nie mają zdziczeć, jeżeli religijne i moralne wartości nie mają być zniszczone, jeżeli kulturalny i społeczny postęp nie ma być po obu stronach znacznie zatamowany.* Albowiem przez rozdźwięk zachodzący pomiędzy środkami rządu a życzeniami rządzonych, *pomiędzy państwem a Kościołem, pomiędzy szkołą a domem,* luzują się a nawet rozrywają wszelkie węzły łączące społeczeństwo w państwie i łatwo wytwarza się położenie takie, że radykalizm, (tj. hakatyzm, szowinizm) może się rozszerzyć i przytłumić żywioły spokojne. Wskazaniem na rewolucyę łotewską z jednej strony, a z drugiej na mowę cesarską, wypowiedzianą w Monasterze, kończy autor swą pracę.

Głos p. Stanisława Turny jest aktem, jak już powiedzieliśmy, wielkiego politycznego znaczenia. Jest czynem człowieka mężnego. Mylą się ci, co uważają, że to wołanie słabości. Ubolewalibyśmy, gdyby po stronie niemieckiej upatrywano w tej enuncyacyi świadectwo lęku naszego. Omyłka! My się niczego nie lękamy. Przejdzie, czy nie przejdzie barbarzyński pomysł wywłaszczenia — my żyć będziemy nadal, bo żyć chcemy. Patrzcie na Górny Śląsk, tam nie ma wielkiej własności polskiej, nie ma nawet rodzimej inteligencyi, a życie narodowe tłumione przez wieki, oślepiająco jasnym wybuchło płomieniem. A więc nie strach przez usta p. Turny mówi. Lecz przemawia rozum, chłodny odważający rozum, który wie, że żadnej walki nie prowadzi się dla walki, lecz celem osiągnięcia pokoju.

Mogą zachodzić wątpliwości, czy obecna chwila stosowna jest do wszczynania podobnej dyskusyi. Można się pytać, czy możliwa, aby słowo mogło wpłynąć na uspokojenie rozszalałych fluktów walki rasowej, płynącej rzekomo z głębin wielkiej, nieugaszonej nienawiści.

Można się godzić lub nie godzić na ton tej broszury, który niektórym Niemcom za mało, niektórym Polakom zanadto jest pojednawczy, słowem można podnosić rozmaite wobec niej rekryminacye. Jednej i to najważniejszej rzeczy odmówić jej nie można, a mianowicie tej, że przez jasne stwierdzenie legalnego naszego stanowiska wobec państwa, które u nas w Prusach jest to samo, jakie zajmują Polacy z dwóch dalszych zaborów wobec mocarstw zaborczych, wytrąca ona faktycznie broń z rąk przeciwników naszych.

Tyle bowiem jasna każdemu zdrowo politycznie myślącemu człowiekowi, że cała antypolska polityka, którą motywowano dotychczas rzekomą chęcią Polaków oderwania się od państwa, obecnie traci ostatnią sztuczną podporę, i jeżeli nadal będzie kontynuowaną — o co się mimo wszystko obawiać należy — nie będzie wynikiem obaw o całość i pomyślność państwa, lecz walką eksterminacyjną, zwróconą przeciwko żywiołowi polskiemu jako rasie obcej, którą by hakata pragnęła zetrzeć z oblicza ziemi.

Przeświadczenie to już dziś bardzo jest pomiędzy Polakami rozpowszechnione, a zaostrzenie antypolskiej polityki musiałoby uczynić je powszechnem i wytworzyć takie położenie, że głos podobny temu, o którym tu mowa, nie tylko że nie mógłby zabrzmieć, lecz choćby nareszcie i zabrzmiał, wywołałby w kraju echa jaknajnieprzychylniejsze.

Tentujące jest pytanie, jakie skutki pociągnie za sobą ta broszura. Nie jesteśmy prorokami, więc nie będziemy na pytanie to odpowiadali. Tyle tylko pewna, że powodzenie lub niepowodzenie myśli p. Turny będzie zależało także od stanowiska, jakie wobec niej zajmie społeczeństwo nasze.

Staraliśmy się tutaj możliwie przedmiotowo przedłożyć treść broszury p. Turny, sąd o niej czytelnikowi pozostawiając. Na koniec musimy jeszcze nadmienić, że za zgodnem świadectwem całej prasy polskiej, autor należy do tych obywateli, którzy dzięki swej wydatnej pracy na polu społecznem zaszczyt przynoszą społeczeństwu i pomnażają jego siłę odporną w narzuconej walce. Tacy obywatele, jeżeli zabierają głos, winni być wysłuchani z szczególniejszą uwagą, a myśli, jakie podają, poważnie oceniane być winny.

Jeszcze raz zaznaczamy: głos p. Turny, to głos rozumu. Sądzić go powinien zatem rozum, a nie uczucie,

---

nam Chocimy, odsiecz wiedeńską, Żółkiewskich i Sobieskich. Katolicki duch Kordeckich i Czarneckich uratował korab polski z odmętów potopu szwedzkiego. Katolicyzm nawet w ogólnem znikczemnieniu społeczeństwa XVIII wieku ratował honor Polski w Konfederacyi Barskiej w postaciach Puławskich, biskupa Krasińskiego i O. Marka... Wiek XIX, to czas martyrologii polskiej. Naród nasz przechodzi wszelkie bóle, wszelkie złości; lecz do wyżyn prawdziwego męczeństwa, do niepokalanego bohaterstwa i poświęcenia pierwotnych chrześcian wzniosły się o katolicyzm oparte tłumy unitów podlaskich, mieszczan krożańskich i ludu wielkopolskiego w czasie walki kulturnej. Najwspanialsze więc czyny i postaci w dziejach polskich, to wonne latorośle, wyrosłe z winnej macicy Kościoła katolickiego. Tyle Dr. Krotoski.

A rok 1907 w dziejach Wielkopolski czyliż nie jest potwierdzeniem żywotności katolicyzmu w naszym narodzie, przypieczętowaniem tej wiekowej prawdy, że uczucie religii i narodowości, uczucie miłości Boga i ojczyzny — nierozdzielnie ze sobą złączone? „Tylko dobry katolik — tak dosadnio mówi *A. Mańkowski* — może być dobrym Polakiem — i tylko dobry Polak jest w stanie być dobrym katolikiem‘‘.

„...Moment dziejowy — podnosi *M. Straszewski* — w którym większość narodu polskiego wyrzekłaby się chrześciaństwa i Kościoła, oznaczałby dopiero naprawdę koniec Polski. Jako naród niechrześciański i niekatolicki nie potrafilibyśmy ostać się wobec otaczających nas wrogów, lud polski, gdyby przestał być katolickim, przestałby być i polskim. Naród angielski mógł pozostać narodem, pomimo, że przestał być katolickim. Francuzi, wyrzekłszy się katolicyzmu, niewątpliwie także pozostaną narodem osobnym; w naszych warunkach byłoby to rzeczą zupełnie niemożliwą. O tem powinni pamiętać ci wszyscy, którzy u nas tak zawzięcie walczą przeciw Kościołowi i chrześcijaństwu. Katolicyzm to nasza cecha narodowa, to jeden z czynników, który pomimo podziałów politycznie nas zespaja. Państwo polskie przestało istnieć, ale kościół polski istnieje nadal i nie przestaje wraz z polskim narodem spełniać roli klina wbitego między prawosławie a protestantyzm. Takiej duchowej broni się wyrzec, równałoby się pójściu dobrowolnemu na rzeź za przykładem baranów‘‘.

Słuszne dlatego też i sympatyczne są głosy w ankiecie, które z całą energią występują przeciw tej części literatury nowoczesnej, która targając się na uczucia religijne, osłabia tem samem uczucia narodowe. „Wszak modernistyczna literatura w wielkiej części jest przesiąknięta duchem bez dogmatu, bez etyki i obyczajności katolickiej. Pod tym względem za ma-

nie serce przepojone goryczą, jaką nas od lat tylu karmią.

R.

* * *

Artykuł powyższy był już gotów, gdy w ostatniej chwili odebraliśmy w tej sprawie artykuł p. *posła Napieralskiego.* Mimo, że przez to polityczna część obecnego numeru „Pracy“ staje się nieco jednostronną, nie mogliśmy się zdecydować na odłożenie tego artykułu do przyszłego numeru, lecz podajemy go już dziś, aby zapoznać czytelnika wcześniej z cennemi poglądami wybitnego publicysty i polityka naszego.

Artykuł posła *Adama Napieralskiego* brzmi:

Otwarte słowo.

Pan Stanisław Turno z Objezierza wydał w tych dniach broszurę, którą w tytule nazwał „otwartem słowem polskiego obywatela państwa pruskiego‘‘.

Do napisania jej spowodowały autora wieści o projekcie wywłaszczenia Polaków, jaki rząd pruski zamierza rzekomo przedłożyć sejmowi w tej zimie.

Sam projekt wywłaszczenia stanowił dla p. Turny — jakkolwiek go szeroko omawia, — przedewszystkiem podatne tło do naszkicowania w broszurze swoich zapatrywać o stosunku Polaków w Prusiech do państwa pruskiego w ogóle.

Ponieważ to uważam za rzecz kardynalną broszury, przeto na nią zwracam uwagę, pozostawiając omówienie szczegółów broszury prasie codziennej.

Broszura jest przeznaczona, jak oczywista, dla Niemców. Autor z góry takie jej dał założenie i zgodnie z niem od początku do końca ją przeprowadził. Skutkiem tego czytelnik Polak odniesie z niej takie wrażenie, jakie odnosi widz, patrząc na obraz, którego część wykończona, a reszta zaledwie podmalowana. Częścią broszury, tylko naszkicowaną lekko, jest właśnie to, co Polaka najbardziej obchodzić musi, a mianowicie, jak autor chce zachować utrzymanie narodowości przez naród polski w Prusiech na tle określonego przezeń prawno-państwowego stanowiska.

Ten brak broszury, umotywowany jej założeniem, jest przyczyną, że przy pierwszem czytaniu wydaje się Polakowi jednostronną. Zebrawszy jednak wszystko, co w tym względzie po broszurze rozproszone, można zdaniem mojem, odtworzyć cały obraz prawno-politycznych zapatrywań pana Turny.

Zapatrywania te zrozumiałem, jak następuje:

1. My Polacy straciliśmy z przeznaczenia Opatrzności nasz samodzielny *byt państwowy* i stanowimy część organizmu państwowego Prus.

Natomiast z woli tej samej Boskiej Opatrzności nie straciliśmy naszej *narodowości,* ani nie przestaliśmy być częścią narodu polskiego.

2. To nasze położenie nakłada na nas dwojakie *obowiązki*: wobec państwa pruskiego i wobec narodowości polskiej.

Obowiązki nasze *wobec państwa* wynikają z *konstytucyi* państwowej, regulującej stosunek państwa do obywateli i obywateli do państwa, a polegają na tem, aby oddawać państwu to, czego do utrzymania się przy dobrobycie, porządku i niezależności potrzebuje.

Obowiązki nasze wobec *narodowości* wynikają z *prawa natury,* regulującego stósunek ludzi do Stwórcy, który ich takimi stworzył, jakimi są, — a polegają na pełnieniu wszystkiego, czego do zachowania narodowości potrzeba.

3. Z tego naszego stanowiska wywodzą się dla nas *prawa* i to w odniesieniu się do państwa i w odniesieniu się do narodowości.

Ponieważ porówno z innymi obywatelami państwa spełniamy wobec niego obowiązki, przeto na mocy konstytucyi należą nam się *równe z nimi prawa* i równe ich do nas stósowanie.

Ponieważ nasza narodowość jest naszem *przeznaczeniem* z woli najwyższego Prawodawcy, przeto mamy prawo utrzymywać i zachowywać to wszystko, co istotę narodowości stanowi.

4. *Konflikty* między państwem a nami mogą zachodzić: gdy my obowiązków względem państwa, jak należy, nie spełniamy; gdy w naszych usiłowaniach, zmierzających do zachowania naszej narodowości przekraczamy granicę, zakreśloną przez konstytucyę; gdy rząd samowolnie prawa obywatelskie nam uszczupla; gdy, nie zważając na prawo natury, spełnieniu naszego obowiązku względem narodowości nam przeszkadza.

5. Konfliktów *nie będzie*: jeżeli my ściśle nasze obowiązki względem państwa wypełnimy, mianowicie gdy żadnych usiłowań, zagrażających jego całości nie będziemy przedsiębrali;

ło u nas odwagi cywilnej, zdolności i cietości w piętnowaniu tych aberracyi, a często wybryków literackich i w wykonywaniu strasznych szkód, jakie ta swoboda w szerzeniu cyganeryi, zgnilizny i błota społeczeństwu wyrządza‘‘ *(Dr. K. Krotoski).* O tych „pajaach‘‘ literackich powiada *L. Stasiak,* że „wszczepiają nam małpią ospę rozstroju, wstrzykują w nas morfinę, propagują pornografię i literacką neurastenię. Kult idyotyzmu nas osłabi... Należy nam stworzyć krytykę. Zbudować i podtrzymać opinię, której gmach ryją i podkopują, obalić molocha paradoksu. Mieć odwagę powiedzieć, że ten, co studentom doradza samobójstwo, nie jest wodzem myśli narodu, ale zbrodniczym kabotynem, należy sprawić organizacyę, którąby płytkom dziennikarskim społeczeństwa bałamucić nie dała, któraby wskazała nieświadomym, gdzie słonko jasne, a gdzie ohydna kałuża‘‘. *Dr. A. Mazanowski* znów ubolewa nad strasznym pesymizmem, bluźnierstwami, które cechują literaturę obecną. Tym marnym negacyom przeciwstawia afirmacye wzniosłe katolicyzmu, w jego wzniosłych dogmatach, w pismach jego wielkich apostołów, a zwłaszcza w ewangelii szukać trzeba jasnej zbroi na marazm i mroźne odmęty myśli, na niepojęte tęsknoty i beznadziejne rozpacze, na bluźniercze porywy i kulty szatana, na tarzanie się w nurtach płciowości i bezkreślne rozuzdanie instynktów... Czy z profesorskiej katedry, czy z kaznodziejskiej mównicy, czy z konfesyonału, czy z łamów pisma, czy z kart książki, lać się winien strumień światła i ciepła, jak pieśń wspaniała, która będzie zgodną — ciszą świata‘‘.

Największem, najświętszem więc zadaniem naszem dwie nasze miłości: Boga i ojczyzny ogrzewać w promieniach katolickiego słońca. Jedną i drugą miłość głosić, wyznawać, szerzyć, wszczepiać w dusze polskie. Trudno pominąć tu słowa *A. Mańkowskiego*: „Więc o tej dwoistej miłości bez przerwy nauczać mamy i w domu i w szkole i wszędzie, gdzie tylko jest ktoś, ktoby słyszał. Niechaj od samego dzieciństwa każdy się opiera na krzyżu i na zrozumieniu, że jest Polakiem — niechaj się tego uczy z miliona książeczek i druków, które dziatwie rozdawać trzeba, a niechaj na wstępie do życia uczy się przedewszystkiem od kobiet, które niebo specyalną obdarzyło siłą trafiania do serc i umysłu dziecka. Czem kto w dziecinnych latach nasiąknie, z tego się nie otrząśnie do śmierci, pomimo życiowych kolei i przeciwności‘‘...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

gdy nasze zabiegi około zachowania naszej narodowości utrzymamy w granicach konstytucyi; gdy rząd względem nas nie będzie stósował innych ustaw, jak względem innych obywateli państwa; gdy rząd prawo nasze do narodowości uszanuje i legalnemu jej pielęgnowaniu nie będzie stawiał przeszkód. Skoro my Polacy oddamy państwu, co mu się należy, natenczas i państwo powinno nam oddać, co się nam należy. Wtedy też może nastać pokój między państwem a nami, pokój dla obu stron potrzebny.

Tak określa te sprawy p. Turno, dodając, że społeczeństwo polskie w Prusiech obowiązki względem państwa pełni, jak należy, że mianowicie żadnej antypaństwowej akcyi nie przedsiębierze, — że natomiast rząd państwa nie oddaje Polakom, co im się należy.

Nie oddaje zaś dla tego, ponieważ między nim a nami stanął szowinizm hakatystyczny zarówno urzędników, jak prywatnych, którzy przedstawiają Polaków jako buntowników, do porozumienia między państwem a nami nie dopuszcza. To porozumienie jest pożądane tak ze względu na państwo, jak i na społeczeństwo polskie. Jest ono możliwe, jeżeli państwo swój stósunek do nas, a my nasz stósunek do państwa oprzemy na bezwzględnej legalności, regulowanej prawami moralnemi i państwowemi, przez obie strony za obowięzujące uznanemi.

Sądzę, że w powyższym ekstrakcie myśli broszury, oddałem to, co jest intencyą autora i co wyraźniej i dobitniej byłby zaznaczył, gdyby był miał zamiar obszerniej ją rozprowadzić.

Pan Turno należy do polityków, dla których moralność w polityce jest jej osią. Wierzy, że państwu niewolno ignorować praw moralnych, ponieważ inaczej nie mogłoby od swoich obywateli niczego innego żądać nad to, co jedynie brutalną siłą wymódz z nich zdoła. Wierzy, że ustawy państwowe powinny się opierać na prawie miłości Boga i bliźniego i że tylko wtedy mogą być uznane za sprawiedliwe, jeśli z tem najkardynalniejszem prawem chrześciańskiem w zgodzie pozostają. Wierzy wreszcie, że państwo pruskie, kroczące skądinąd w szeregu cywilizacyjnego postępu, nie może wobec swoich obywateli polskich hołdować zasadom, urągającym idei chrześciańskiej, idei prawdziwej cywilizacyi.

W to wszystko wierząc, wypowiada otwarte słowo o pokoju między państwem a Polakami; pokoju zawrzeć się mogącego bez ujmy dla państwa i bez szkody dla narodowości polskiej w imię zasady: suum cuique! Wypowiada je w chwili, w której zdaniem jego pomimo wszystko, co się stało, wypowiedzieć je jeszcze można...

Sądzę, że w społeczeństwie naszem nie ma nikogo, ktoby pokoju nie pragnął. Pokój ten jest nam pożądany ze względu na nasze sprawy wewnętrzne, mianowicie celem spełnienia zadań na polu kulturalnem, socyalnem i ekonomicznem.

Nie sądzę też, ażeby ktokolwiek z nas potępił zasadę legalności przy wszystkich naszych przedsięwzięciach. Trzymamy jej się przecie od dawna i tylko zła wola lub nieznajomość rzeczy może nam antypaństwowe zarzucić zamiary. Dane zatem do zawarcia pokoju z naszej strony niewątpliwie istnieją. Jednakże do istotnego pokoju potrzeba dobrej woli państwa i jego rządu.

Czy nadzieja w dobrą wolę rządu, ożywiająca autora broszury, zdoła wzniecić tę samą nadzieję w wielu innych z pomiędzy nas, nie wiem.

Dzieje ostatnich lat mogły nam odjąć wszelkie pod tym względem iluzye; projektowane zaś nowe ustawy wyjątkowe, skoroby rzeczywiście weszły w życie, są zdolne wytępić nasz optymizm wobec państwa do reszty.

Adam Napieralski.

W sprawie organizacyi politycznej

zamieściliśmy w Nr. 41-szym pisma naszego artykuł p. posła Napieralskiego. Szanowny poseł radził — jak wiadomo — stworzenie przedstawicielstwa społeczeństwa, któreby reprezentowało nas na zewnątrz i kierowało odpowiednio akcyą naszą w kraju.

Obecnie odbieramy z bardzo poważnej strony artykuł, który w imię bezstronności podajemy do wiadomo-

---

Z teatru.

„Edukacya Bronki,“ Stefana Krzywoszewskiego, komedya w 3 aktach.

Sztuka, która w ubiegłą sobotę zwabiła liczną publiczność do teatru — teatr był szczelnie zapełniony — i przyjętą została prawie z entuzyazmem, należy do lepszych rzeczy rodzimego repertuaru teatralnego, jest dobrą robotą rutynowanego i biegłego w swym kunszcie pisarza.

Autor „Tęczy“ i „Pięknej ogrodniczki“ jest wybornym znawcą sceny i jej warunków, potrafi wyzyskać efekty, umie działać na nerwy widza.

Pisarz nie zbyt głęboki, lecz błyskotliwy i interesujący, żeby się tak wyrazić, salonowiec literacki, nadaje Krzywoszewski swym utworom scenicznym ten ton sobie właściwy, przypominający salonową komedyę francuską, a jednak odrębny, własny. Figury, które stwarza, nie wznoszą się wprawdzie ponad poziom przeciętności, nie interesują, jako skomplikowane organizacye psychiczne, lecz zajmują tem, co mówią i jak mówią. To też dyalog jego zawsze jest ożywiony, nie głęboki w treści, lecz również nie banalny, często świetny. Osoby jego żyją, niektóre jakiemś życiem sztucznem, lecz nie są szablonami. W każdą umie tchnąć duszę, nie wielką, nie zróżniczkowaną, lecz zawsze duszę. Szczególniejszą wagę kładzie na wypracowanie środowiska. W tem jest mistrzem. Widz zapomina wskutek tego niekiedy, że jest w teatrze, ma złudzenie, że przed oczyma przesuwa mu się kawał życia. Przestrzeń pomiędzy widownią a sceną maleje, zaciera się. Ma się wrażenie, że nie patrzy się na sztukę, lecz że się udział bierze w wypadkach, odgrywających się na deskach.

Taką też była sztuka sobotnia. Jako temat stara, jak starym jest nowoczesny teatr. A jednak interesująca dzięki zręczności autora. W pierwszym akcie już przewidujemy, jaki będzie ostatni. Mimo to śledzimy wypadki na scenie z zajęciem.

Historya Bronki Serwatowskiej to historya poczciwej dziewczyny, która ma serce i rozum i wdzięk i urodę, jaknajlepsze chęci i skłonności, a jednak dzięki naukom rozmaitych Bereszów i zawodom spowodowanych przez łajdaków typu Zahorskiego, rzuca się nakoniec w objęcia takich starych wyjadaczy, jakim jest hr. Horyński.

Historya smutna, widok rozdzierający, bolesny, jak każdy widok krzywdy ludzkiej i pohańbienia.

Pomiędzy małymi, płaskimi ludźmi obraca się ta biedna Bronka. Ona jedna o całe niebo przewyższa swe otoczenie. Obok niej jeden Boresza, lubo upadłe indywiduum, ma trochę serca i ludzkiego uczucia, reszta to kretyny moralne, a taki Zahorski to najpospolitszy zbrodniarz.

ści publicznej zaznaczając, że pozostajemy na raz zajętem stanowisku.

Artykuł ten, zawierający mnóstwo nader cennych wskazówek, brzmi, — jak następuje:

Organizacya polityczna jest u nas, tylko trzeba ją zastosować do stosunków i potrzeb naszych.

Chociaż posłowie literalnie wybierani są na to, aby zastępować naród w Berlinie, to nikt im za złe nie weźmie, że i po za Berlinem będą kierowali sprawami politycznemi.

Nie twórzmy nowych korporacyi, bo tego wszystkiego co do liczby jest aż nadto i nie mamy ludzi dosyć.

1) Posłowie są przez większą część roku zebrani w Berlinie, z łatwością mogą się zebrać i gdzieindziej.

2) Mamy komitety wyborcze, mężów zaufania.

3) Posłowie mają święty obowiązek corocznie w każdem mieście swego obwodu wyborczego odbywać wiece.

4) Każdy obwód uzna swego posła jako naturalnego gospodarza swego politycznego.

5) Posłowie będą ściślej połączeni z narodem.

6) Organizacya wyborcza ma wobec prawa najwięcej jeszcze wolności, nie tylko w czasie wyborów samych.

Organizacya istnieje wcale dobra. Chodzi o to, aby posłowie działali nie tylko w Berlinie i nie tylko parlamentarnie, lecz aby się zajmowali wszystkiemi sprawami publicznemi, wszędzie i zawsze.

Niech się posłowie zabiorą do sprawy praktycznie bez odezw i programow i formalności. Po prostu z mostu.

Wpływać na naród, na opinią publiczną, na rozum i uczucia narodu mogą posłowie słowem pisanem i ustnem.

W czasie parlamentarnym niech posłowie ślą do gazet wszystkich krótkie komunikaty, wyrażając co posłowie, ich przyjaciele i znajomi sądzą o tej lub owej sprawie. Nie potrzeba, iżby tylko jeden sąd i wyrok wymienić. Nie mają to być wyrocznie, lecz poważne i kompetentne słowa ludzi na straży stojących, aby narodowi ułatwić sąd i działanie w sprawach publicznych. W czasie nie parlamentarnym posłowie musieliby się w danym razie zebrać, naradzić i kwintesencyą narad ogłosić przez gazety.

Od czasu do czasu posłowie mogą wydać osobną broszurkę o jednej sprawie lub o kilku.

Żywe słowo często ważniejsze aniżeli pisane, bez niego nie ma politycznego działania. Niech posłowie więcej aniżeli dotąd zwołują wieców, razem i pojedyńczo, większych i mniejszych.

Każdy poseł niech zna delegatów, mężów zaufania i całą organizacyą w obwodzie swym wyborczym. Gdzie nie mamy swego posła, tam poseł sąsiedniego obwodu musi się sprawą zająć.

Oto najprostsza droga do celu. Gdzie potrzeba kanału tam się używa rowu już istniejącego pogłębiając go. Kiedy nie mogę jednym wozem więcej różnych rzeczy zabrać, to biorę do każdej osobnego wozu.

Sposób jest. Chodzi o to, aby go użyć, należycie użyć, ciągle go używać.

Chodzi o to, aby naród miał jaką taką dyrektywę. Nie można marzyć o tem, abyśmy sobie nadali jakoby rząd narodowy, aby w tym rządzie była zgoda, aby go dobrowolnie wszyscy słuchali bez policyi, bez wojska, egzekutora, bez przymusu, bez egzekutywy.

Polacy nie wyrobili sobie jeszcze ducha organizacyjnego, ani aktywnego ani pasywnego. Czy za sto lat go będą mieli — i to pytanie. Według stawu grobla. Powyższy projekt ma służyć do tego, aby się wyrabiał zmysł organizacyjny i polityczny.

r.

* * *

Nie możemy sobie odmówić zaszczytu wyrażenia kilku wątpliwości, jakie się nam przy czytaniu tegoż artykułu nasunęły.

1. Uważamy że Szan. Autor nie uwzględnia należycie wątpliwości nasuwających się co do legalizacyi posłów do akcyi tak szerokiej, jak ją nakreśla program posła Napieralskiego.

2. Autor pomija tę ważną sprawę, że reprezentacya, jako ciało polityczne, stałaby ponad posłami i tworzyła zarazem kontrolę ich działalności.

3. Autor nie uwzględnia tej niepożądanej, lecz możliwej ewentualności, że na skutek jednostronnej agitacyi przy wyborach parlamentarnych, mogliby wejść do kół poselskich w większej liczbie posłowie tacy, którymby społeczeństwo nie chciało oddać do rąk całej władzy politycznej.

Nareszcie sądzimy, że roztrzyganie ważnych spraw i ferowanie orze-

---

Nie można powiedzieć, żeby sympatyczną była ta atmosfera, jaka się nad sceną unosi.

Wieje na nas stamtąd powiew zgnilizny, przykry i zły, a przeświadczenie, że w życiu takie tragedye są na porządku dziennym, że autor nic nie wymyślił, lecz wziął temat aż nadto znany i krwawemi zroszony łzami, potęguje przykrość, lecz równocześnie wyzwala w nas dobroczynne wzruszenia spółczucia, jakie budzi widok każdego upadku człowieczego i każdej niedoli.

Żal nam tej Bronki i jej złamanego życia, żal nam Boreszy, tego sponiewieranego i upodlonego, lecz czującego człowieka; oburza nas cynizm Rymwida i bezgraniczny, ohydny, nieludzki wprost egoizm Zahorskiego, brutalność zwierzęca, z jaką się odnosi do kobiety, ktera mu wszystko oddała, a w zamian nie wzięła nic, krom strasznej nauki, że za prawdziwą miłość niekiedy płaci się łzami...

Możnaby się rozprawiać z autorem, czy koniecznie ta Bronka, którą on narysował, musiała skończyć tak, jak skończyła. Właściwie wyposażył ją autor zbyt bogato, aby miała rzucić się w bagno. Naszem zdaniem zgodniej z swym charakterem postąpiłaby Bronka, gdyby, pouczona twardem doświadczeniem, odwróciła się ze wstrętem od życia, jakie dotąd prowadziła i złamana na duszy wróciła do uczciwej pracy. Nie sądzimy, żeby na tem sztuka straciła.

Gra artystów na ogół była dobra. Pani Kozłowska była swobodna i naturalna. W scenach patetycznych zdobywała się na wielkie i namiętne akcenty. Niekiedy raził nieco twardy ton w sposobie mówienia artystki. Pan Poleński w masce i grze był znakomity. To samo należy powiedzieć o pani Stępowskiej. Pan Szatkowski grał dobrze, lecz w gieście zbyt jest jednostajny. To samo twierdzimy o panu Czerniaku, który oprócz tego nie zdołał trafić w ton, właściwy swej roli. Nuna pani Zawiłowskiej była przepisowo ordynarna. Pan Bogusiński zbyt kocha się w gestykulacyi i mimice nie koniecznie szczęśliwej. Pan Skąpski zaś, jak w pierwszym akcie był dobrym, tak zawiódł w dalszych. Był zbyt nerwowym i niespokojnym. Mówił za szybko, nerwowo, niewyraźnie, nie potrafi też z efektem „rzucać się ku drzwiom,'' natomiast wybiega, jak rozgniewany chłopczyna. Zresztą przedstawienie było dobre. Sztuka ta ma zapewnione powodzenie.

czeń, mających znaleźć ogólny posłuch, nie należy poruczać tak szczupłemu gronu osób, osób do tego tak eksponowanych politycznie i — ludzie są ludźmi — mogących (mówimy *mogących*) się liczyć niekiedy z względami na popularność więcej niż tego dobro sprawy wymaga.

Z zasadniczych względów nie radzilibyśmy rozszerzać kompetencyi posłów, bez zrównoważenia tych wpływów przez powiększenie odnośnego kompetentnego ciała liczebnie.

Nadchodzą długie wieczory! Jak je zapełnić najużyteczniej? — Czytaniem dobrych, patryotycznych pism!

„Praca" od chwili założenia cieszy się opinią dobrego i patryotycznego pisma.

Przegląd prasy.

W sprawie broszury p. S. Turny odezwał się szereg głosów w prasie polskiej i niemieckiej. Z polskich gazet nieprzychylne wobec broszury zajęły stanowisko *„Goniec Wielkopolski"*, *„Lech"* i *„Kuryer Poznański"*. Referujące, a więc podobne jak my zajął *„Dziennik Pozn."* Jednakże otworzył swe łamy dla głosów z kół czytelników. Dotychczas pojawiły się tam dwa poniższe artykuły pp. dra T. Jackowskiego z Wronczyna i Henryka Mańkowskiego z Winnogóry. Panowie ci w bardzo przekonywających wywodach popierają akcyę p. Turny i przyklaskują jej bezwzględnie. Mamy wrażenie, że artykuły tych panów odzwierciadlają wiernie na ogół zapatrywania szerokich kół ziemiańskich. Bardzo interesował nas głos *„Gaz. Grudziądzkiej"*, która w jasnych słowach pisze, że wszyscy Polacy zapewne pragną pokoju i tylko zmuszeni prowadzą tę ciężką walkę. Lecz nie ma przekonania, że broszura p. Turny przyczyni się do przywrócenia zgody, gdyż stanie temu na przeszkodzie potężny dziś hakatyzm. Podobne wątpliwości podnosi także „Górnoślązak," który twierdzi, że do zmiany kursu potrzeba dobrej woli ze strony przeciwnika, a nie wiedzieć, czy się ta dobra wola znajdzie. Centrowa „Gazeta katolicka" wątpi, czy broszura p. Turny wpłynie na złagodzenie polityki antypolskiej. Gazety niemieckie rozpisują się przychylnie o broszurze i zaznaczają zadowolenie, że się pojawiła. Tylko hakatystyczne nie są zbudowane krokiem p. Turny, gdyż boją się, żeby rząd nie zmiękł.

Nakoniec jeszcze zanotować trzeba, że p. dr. Jackowski otrzymał z niemieckiego źródła wiadomość, że rząd porzuci pomysł wywłaszczania. Dałby to dobry Bóg! Jeżeliby tak być miało, nie potrzeba sądzić, że to już owoc broszury p. Turny. Tyle tylko pewna, że musiała ona być bardzo na rękę tym kołom rządowym, które już poprzednio starały się obalić zamysły hakatystów.

Naszych czytelników prosimy w interesie sprawy, aby sobie spokojnie rozważyli całą tę akcyę i starali się wyrobić sobie o niej zdanie samodzielne, własne.

* * *

W sprawie artykułu posła Napieralskiego, dotyczącego stworzenia reprezentacyi narodowej zabrało głos kilka gazet polskich. O ile nas dochodzą, wszystkie uznają, że w zasadzie się na projekt ten zgodzić należy, jednakże są wątpliwości. I tak *„Postęp"* np. podnosi mniej więcej te same wątpliwości, co autor artykułu w dzisiejszym numerze „Pracy." Proponuje jednak — zgadzając się na

---

Z wystawy obrazów.

Około dziewięćdziesięciu obrazów, w tem kilka cennych rzeźb lwowskiej artystki Luny Drexlerówny, zdobi nasz salon sztuki. Ze skromnych początków wykłuła się wcale pokaźna instytucya kulturalna, popieranie której jest jednym z ważniejszych obowiązków społeczeństwa.

Jak każda rzecz ludzka i nasza wystawa wywołuje krytykę więcej wymagających osób, o delikatnem ustrunieniu nerwowem, estetów takich razi np. okopcony sufit i odpadły gdzieniegdzie tynk i to tak dalece, że tylko ze szczególniejszym wysiłkiem woli pokonują chęć opuszczenia wystawy z indygnacyą.

Rozumiemy to zupełnie. Kto od zarania dni swoich przyzwyczaił się przebywać w salonach kapiących od złota i zasiadać w fotelach jedwabiem wybitych, ten widokiem skromnych sal naszej galeryi i ich urządzeniem nie może się zachwycać. Szczęściem, że większość osób zwiedzających wystawę, ma wyrozumienie dla szczupłych naszych środków i przyszedłszy na wystawę, miasto na ściany i sufity patrzy na obrazy.

A jest na co patrzeć.

Zaraz w pierwszej sali ujrzy cały szereg znakomitych prac monachijskiego malarza Władysława Majewskiego.

Są to w największej części pejzaże, nie wielkie obrazki, lecz nadzwyczaj żywe. Niezłe są „brzozy" naszego poznańskiego artysty p. Graczyńskiego, również „Urwiska z Puszczykowa" odznaczają się dobrym rysunkiem. „Śnieg," obraz powstały pod wyraźnym wpływem Wywiórskiego, słaby. Pagórki śnieżne na lewo — nalepione na tło nieba, brak powietrza; droga namalowana ciężko, perspektywicznie obraz pozostawia do życzenia. To samo odnosi się do nader jaskrawego i nic nie mówiącego „pejzażu latowego."

Pan Kazimierz Szmyt wystawił pięć obrazów. Z tych najlepiej podoba się nam bardzo dobry w rysunku portret p. Żółtowskiego z Nekli, tudzież portret pani G. Wielki obraz Lisieckiego, „Kościuszko na koniu" nie zdołał nas rozgrzać. Koń jak gdyby z drzewa, kosynierzy jacyś wywatowani, kompozycya nie zbyt szczęśliwa.

Przechodzimy do drugiej sali. Szereg przepysznych fiordów Włodzimierza Nałęcza z Warszawy. Są to rzeczy prześliczne w rysunku i tonacyi. Motywy cudowne, wykończenie śniegu, wody mistrzowskie, słowem kolekcya prawdziwych dzieł sztuki. Zwracamy uwagę na mniejszy obraz „Noc letnia na wyspach Lofedenu," pejzaż tonący w łagodnych półcieniach zimnego północnego światła. Nałęcz to bogaty talent, subtelna organizacya artystyczna, malarz, który ma wiele do powiedzenia światu.

W sali ostatniej Michał Wywiórski roztoczył swe panowanie. Dobrze znany nam Wywiórski ze swemi śniegami, dębami, zachodami słońca i motywami niekiedy tak prostemi, że aż ubogiemi. A jednak motywy te pod jego ręką nabierają ciepła i życia i przemawiają do nas tak jakoś dziwnie swojsko, tak oddają duszę tej naszej ojczystej ziemi, taka tęsknota z nich płynie, taki ucisk w nich stęka, tak pozwolą nam patrzeć w dal bezbrzeżną i bolesną, że odnajdujemy w nich własną duszę zgnębioną, wyczekującą jakichś nowych świtów z tej beznadziejnej, szarej, zadumanej przestrzeni...

Wystawa warta jest zwiedzenia i to nawet bardzo szczegółowego. Instytucya rozwija się bezsprzecznie. Coraz mniej tam bohomazów, coraz więcej dzieł sztuki. Ideałem byłoby znaleźć odpowiednią przestronną salę z górnem światłem. Tymczasem jednak zadowoleni jesteśmy z obecnego lokalu. Nie zawadziłoby wszakże, gdyby istotnie usunięto braki w sufitach i tapecie.

myśl poruszoną przez posła Napieralskiego, aby reprezentacyę społeczeństwa poruczyć bądź to „Straży,“ bądź Komitetom prowincyonalnym wraz z delegatami i posłami, a także redaktorami pism polskich.

Lękliwszy jest *„Kuryer Poznański,“* który wogóle nie chce reprezentacyi. Uznaje myśl rzuconą przez p. N. za dobrą teoretycznie, lecz praktycznie za przedwczesną.

Na to odpowiada *„Górnoślązak“* tak:

„Kuryer Poznański“ połączył omówienie projektu p. Napieralskiego „o potrzebie lepszej organizacyi politycznej“ z broszurką p. Turny i na tle tego nazwał go — przedwczesnym. Zdaniem „Kuryera“ — „do utworzenia organizacyi projektowanej przez posła Napieralskiego brak nam dziś jeszcze politycznej dojrzałości.

Na dowód powyższego twierdzenia wskazuje „Kuryer“ na „Straż“. — „Straż“ powstała przecież także z uczucia powszechnego, „iż coś nam czynić należało, lecz nie byliśmy pewni, coby mogło być najskuteczniejsze“. I co się stało? Pewne sfery naszego społeczeństwa uznały za wskazane „Straż“ faktycznie bojkotować.

Nie myślimy taić — pisze „Kuryer“ w końcu — że „Straż“ popełniła niejeden błąd taktyczny. Pisaliśmy o nich zawsze otwarcie. Ale przecież ludzie wtajemniczeni wiedzą dobrze, że co innego spowodowało ów bojkot „Straży“ ze strony pewnych sfer; stawiono pospolicie względy prywatne, ambicye i przeciwieństwa rodowe ponad interes ogólno-narodowy. To nie dowodzi zaiste wielkiej politycznej dojrzałości“.

To wyznanie „Kuryera“ jest nadzwyczaj cenne. Wszakże „Kuryer Poznański“ mówi to o t. zw. inteligentnych warstwach księstwa! Jakże to wygląda w porównaniu z tylokrotnie i tak głośno obwołanymi frazesami o **dojrzałości politycznej ludu.**

Tu „Kuryer“ wyraźnie stanął w sprzeczności do wytycznych podstaw całej naszej dotychczasowej polityki, której fundamentem był przypuszczalny ogólnie fakt, *że istotnie politycznie jesteśmy dojrzali.*

Twierdzenie „Kuryera“, że projekt p. Napieralskiego jest przedwczesny **po tem przyznaniu, że społeczeństwo nasze** jeszcze politycznie doń nie dojrzało — jest nam wprost niezrozumiałe. Przecież stworzenie organizacyi, mających zaspokoić jakąś polityczną potrzebę, ma się bezpośrednio do wyrabiania dojrzałości przyczyniać.

Z tego założenia wychodząc, argumenty „Kuryera“ przeciwko projektowi p. Napieralskiego, w rzeczy samej **jak najdobitniej** ***przemawiają za nim.“***

* * *

O tej politycznej niedojrzałości społeczeństwa a mianowicie ludu, rozwiódł się w tym samym „Kuryerze“ także p. Idzi Świtała. Zdziwiliśmy się nie artykułowi, ale tej okoliczności, że pojawił się akurat w „Kuryerze.“ Wszystkim przecie wiadomo co „Orędownik“ zazwyczaj mówił o politycznej dojrzałości ludu, a wiadomo też, w jak bliskich stosunkach pozostaje „Kuryer“ z „Orędownikiem.“

W artykule zatytułowanym „Wola ludu,“ a zamieszczonym w „Kuryerze,“ silił się p. I. S. udowodnić, że częstokroć lud uchwala tę lub ową rezolucyę nie dla tego, że on tak chce, lecz dla tego, że tak chcą redaktorzy pism, którzy się potem powołują na wolę ludu, podczas, gdy to nie ludu była wola, lecz wola redaktorów. Zaiste, gdyby tak było, nie dobrze by było. I kto wie, czy częstokroć tak nie jest. Dla tego też prosimy naszych czytelników, aby sobie w każdej sprawie, wyrabiali własny pogląd, boć ostatecznie oni cierpieć będą za błędy popełniane przez innych.

* * *

„Polska gospodarka“ — oto, co nam tak często wytykają rozmaite gazety niemieckie, dawniej częściej jak dziś, lecz i dzisiaj nierzadko. Tymczasem wypadki w Niemczech z ostatnich kilku tygodni, gdzie ludzie bogaci sprzeniewierzyli wielkie sumy biedaków, świadczą, że ta nasza dawniejsza polska gospodarka, gdzie tylko każdy sam siebie krzywdził, była jednak rajem w porównaniu do obecnej niemieckiej gospodarki. Za *„Przew. Katol.“* przytaczamy następujące fakta:

1. Woźny berlińskiego banku dyskontowego Edward Bartsch, zabrawszy 60 tys. marek, zbiegł w towarzystwie narzeczonej swej, kucharki Lehmann.
2. W kasie w Sachsenbergu w Meklenburgii wykryto przeniewierstwa na 150 tysięcy marek.
3. W Hatlingen ukradł kasyer banku marchijskiego Seltermann 20 tys. marek.
4. W miejskiej kasie oszczędności kamelarz Rumpf skrzywdził deponentów na 32 tys. marek.
5. W miejskiej kasie w Gelsenkirchen urzędnicy Loos i Bock zdołali do

Cezary Jellenta.

W czwartek wygłosił p. Cezary Jellenta drugi odczyt o Cypryanie Norwidzie, który liczniejszą niż pierwszy zgromadził publiczność na sali bazarowej.

Miasto streszczenia odczytu, który był głównie rozszerzeniem i pogłębieniem tematu, w szerokich liniach narysowanego na konferencyi niedzielnej, pragnęlibyśmy — podając równocześnie w dziale ilustracyjnym podobiznę prelegenta — zaznajomić czytelników naszych z samym Jellentą, osobistością tyle zasłużoną około literatury, którą zbogacił cennemi pracami, bądź to jako poeta, nowelista, dramaturg, bądź, jako krytyk literacki i essaista nie powszedniej miary.

Cezary Jellenta urodził się w Warszawie roku 1861. Studyował prawo i filozofię. Już od r. 1879 występuje na dziedzinie literackiej i pisuje do rozmaitych pism. Większe jego prace pojawiają się dopiero po r. 1890.

Do celniejszych dzieł autora należą zdaniem kompetentnej krytyki: „Prometeiści,“ dzieło upowszechniające odtąd w literaturze polskiej ideę prometeizmu, „Juliusz Słowacki dzisiaj,“ książka traktująca Słowackiego w duchu nowoczesnym, według Feldmanna i Żuławskiego najlepsze dzieło o Słowackim wogóle. Dalej „Galerya ostatnich dni,“ zawierająca obraz sztuki monachijskiej, oraz bardzo pogłębione i z entuzyazmem przyjęte studya o Matejce, Andriolim i Gierymskim. „Dante Alighieri,“ jest-to pierwsza u nas monografia Dantego ze stanowiska poezyi spółczesnej traktowana, jednakowoż przez prof. Porębowicza nieuznana za dzieło trwalszej naukowej wartości. Jako nowelista występuje Jellenta z tomem p. t. „W przesileniu.“ Jako poeta i dramaturg pisze poemat dramatyczny „Nurty,“ w rodzaju bajrońskiego Manfreda, oraz „Kraswę,“ poemat dramatyczny, próba nowoczesnego mytu, opartego na tragedyi rozszarpania Polski.

Oprócz powyższych większych prac pisze Jellenta szereg studyów o Malczewskim (malarzu), Flaumie (rzeźbiarzu), Goyi, Lemańskim, Heinem, Wicie Stwoszu, Nietzschem itd.

R. 1903 wskrzesił Jellenta „Ateneum,“ miesięcznik literacki w Warszawie i prowadził go w duchu modernistycznym do wiosny r. 1904, kiedy to pismo przez rząd rosyjski zawieszonem zostało. Obecnie wznawia Jellenta to wydawnictwo. „Ateneum“ niebawem wychodzić zacznie, choć na razie po za granicami ojczystego kraju.

Od dwóch lat przebywa Jellenta po za granicami Królestwa i jest czynny we wszystkich ogniskach polskiego życia i polskiej myśli, a zwłaszcza w miastach zaboru austryackiego i pruskiego jako prelegent. Wykłady Cezarego Jellenty o Wyspiańskim, Wagnerze i Ryszardzie Straussie zje-

własnej kieszeni wpuścić 50 tys. mk.

6. Dyrektor pewnej spółki w Berlinie, J. Norden, nagle wyjechał za granicę, niby się ożenić; a że na to potrzeba dużo pieniędzy, skradł 40 tys. marek.

7. Max Neumann także chciał się ożenić, lecz brak mu nieco gotówki, więc zabrał sobie z banku, w którym był zajęty, nie wiele, bo tylko 50 tys. mk., część zagrzebał na cmentarzu, a za resztę używał rozkoszy Berlina, lecz policya ptaszka przychwyciła i w klatce osadziła.

8. Kasyer Mueller z banku przemysłowego w Spirze (Speyer) nie kontentował się 50 tys. mk., lecz wolał zabrać sobie coś około miliona!

9. Jeszcze lepiej udało się jakiemuś Linkierowi w Arnheim. Ten potrafił na bok odłożyć ogromną sumę 6 milionów marek.

10. A już wprost straszne były przeniewierstwa w Banku Malborskim (Marienburg) w Prusach Zachodnich. Wszystkie gazety o tem pisały. Przeszło 7 milionów marek, zaoszczędzonych przez najrozmaitszych, także mniej zamożnych ludzi, stracił dyrektor Woelke.

Płacze i jęki ukrzywdzonych podobno serca rozdzierały, gdy się dowiedzieli, że od razu przepadły im grosze w krwawym pocie przez tyle lat uciułane. Donosiły gazety, że nawet sporo Polaków przy tem majątki potraciło, ponieważ i oni w tym banku niemieckim pieniądze umieścili.

Zatem składajmy swe oszczędności w polskich bankach i spółkach, w których nie wydarzyło się jeszcze ani w przybliżeniu coś podobnego i które stoją pod zarządem i nadzorem ludzi zasługujących na zupełne zaufanie.

* * *

dnały mu powszechne uznanie. Prasa niejednokrotnie pisała o prelekcyach Jellenty, „że takich wykładów jeszcze nie było,“ a poglądy jego uznawano za twórcze, oryginalne i rzucające nowe zupełnie światło na badane tematy.

Wysoko ceniąc pierwiastek muzyczny w utworach literackich i poetyckich się wyrażający, starał się Jellenta zaznaczać bliską łączność pieśni z poezyą i zmysłu literackiego ze zmysłem muzycznym. Sam obdarzony pięknym głosem, występował także jako śpiewak w Dreźnie, Lipsku i innych miejscowościach, zyskując sobie wybitne pochwały zwłaszcza dla strony deklamacyjnej swego śpiewu i mistrzowskiego frazowania.

Publiczność poznańska w najbliższej przyszłości będzie miała jeszcze sposobność usłyszeć świetne wykłady Jellenty, zatem spodziewać się należy, że nie omieszka w wydatnej mierze z nich skorzystać.

Bardzo dobrą myśl w sprawie szerzenia oświaty pomiędzy ludem podaje *„Pielgrzym,“* pisząc:

„Ponieważ oświata narodowa musiałaby przeniknąć nasze umysły od lat najmłodszych, przeto powinniśmy mieć zestawienie tytułów książek z dzieł polskich dla chłopców, dla młodzieńców i dla ludzi starszych wiekiem, dla dziewcząt i kobiet i to dla warstw niższych i średnich społeczeństwa. Gdyby nasz włościanin lub mieszczanin wiedział, że kupując książkę po książce dla chłopca, daje mu to, co mniej więcej dałaby mu szkoła polska, z pewnością poświęciłby chętniej kilka marek, aniżeli teraz, gdy nie wie, co dziecku kupić, gdy na chybił trafił kupuje tę, luub ową książkę. Wykaz taki mógłby znaleźć miejsce w bibliotekach ludowych. Najpraktyczniejszem byłoby jednakowoż, gdyby u nas zestawiono książeczki z tanich wydawnictw polskich (kilkogroszowych) i podzielono je w ten sposób, iż taką biblioteczkę polską, zawierającą dzieła najważniejsze, które znać choćby w ustępach powinien każdy Polak, możnaby nabyć gotową za sumę bardzo małą. Biblioteczki takie dwu lub trzymarkowe kupowanoby dzieciom jako podarek gwiazdkowy, wiedząc o tem, że te książki nie przypadkowo są zebrane, nie odrzucone przez księgarza, lecz starannie ułożone dziełka, po przeczytaniu których nabierze się jakiegoś rozumnego poglądu na nasze polskie życie duchowe“.

Projekt powyższy bardzo jest pochwały godzien. Sekcya kulturalna „Straży“ miała się zająć tego rodzaju pracą. Systematyczne wydawanie odpowiednich pouczających książek dla ludu, to zaiste zadanie godne zabiegów ludzi dobrej woli. Panowie nauczyciele bardzoby się w tej mierze przysłużyć mogli społeczeństwu.

* * *

Jak wiadomo powszechnie, jednym z argumentów, wystawianych przez władze petersburskie przeciwko J. E. biskupowi wileńskiemu, ks. Roppowi, były denuncyacye płynące z pewnych kół litewskich, jakoby biskup Ropp polonizował ludność dyecezyi wileńskiej. Obecnie grono księży Litwinów z tej dyecezyi w ogólnej liczbie 42 przesłało do pism rosyjskich zbiorowy protest przeciwko rzucanym na J. E. ks. biskupa oszczerstwom.

Czytamy tam między innemi:

„Ani ludność pochodzenia litewskiego w dyecezyi mińskiej, ani też kapłani Litwini nie mogą, mówiąc sumiennie, uskarżać się na postępowanie biskupa Roppa względem narodowości naszej, gdyż baron Ropp, jako prawdziwy pasterz Kościoła Chrystusowego, jednakowo postępował i postępuje względem wszystkich narodowości w swej dyecezyi“.

Mimo to, a może właśnie dlatego ks. biskup Ropp już nie wróci do swej dyecezyi, gdyż jak donoszą wiarogodne źródła, został usunięty przez rząd z piastowanej godności. Jednocześnie wzbroniony mu został pobyt w stolicach i na Litwie. Rządowi naturalnie nie o rzekome polszczenie Litwinów chodziło, lecz o to, że czcigodny biskup czynny brał udział w ruchu mającym na celu odrodzenie narodu polskiego. Ogólnie bowiem znany jest patryotyzm ks. biskupa Roppa i jego błoga działalność na polu społecznem i oświatowem. Tego naturalnie nie mógł znieść ciemny i fanatyczny system rosyjski.

* * *

Najgorszy obłęd — to obłęd religijny. Niebezpieczny on przez to, że udziela się innym i staje się epidemią. Dowodów nie brak na to w historyi, a i dni nasze mogą się poszczycić podobnym objawem. Mamy tu na myśli nieszczęsną sektę mankietników w Królestwie. Obecnie zbiera ks. prob. Eustachy Krocin materyały do historyi mankietnictwa. Pomiędzy innemi odebrał skład „zasad wiary maryawitów, podpisany przez trzech archirejów sekty. Dokument ten wedle *„Dzien. Pozn.“* brzmi:

„Maryawici wierzą:

1. W to wszystko, czego Kościół katolicki naucza.

2. Że Pan Bóg uczynił Maryę Franciszkę z domu Kozłowską najświętszą i dał jej te łaski, jakie dał N. M. P. Matce Boskiej.

3. Że modlitwa do św. Maryi Franciszki jest nietylko pożyteczna, ale i konieczna do odparcia zasadzek szatańskich i do utwierdzenia duszy w łasce Bożej.

(Podpisano.)

O. Antoni Hrynkiewicz, O. Bazyli Furmanik, O. Cyryl Żmudzki.

Podobne głupstwa powstać tylko mogą w głowach ludzi ciemnych i przewrotnych. Wielka odpowiedzialność zatem spada na rząd rosyjski, który ludność systematycznie utrzymywał w ciemnocie. Kiedy ta hańba startą będzie z oblicza ziemi polskiej?

Tydzień polityczny.

W Niemczech, tak bogatych w ostatnich czasach w sensacye rozmaitego rodzaju, jedna z większych ma miejsce w Berlinie. W chwili, gdy te słowa piszemy, tj. w środę, odbywa się tam przed sądem ławniczym termin w znanej sprawie Moltke contra Harden. Publiczność słucha tych rozpraw jak jakiej premiery. Nie dziw, toć chodzi o sprawę wielce delikatną. Jako świadkowie występują ludzie bardzo wybitni np. kanclerz ks. Bülow, ks. Biron z Sycowa, ks. Filip Eulenburg, ks. Fryderyk Eulenburg, pani von Heyden, rozwiedziona żona Moltkiego, hr. Fryderyk Hohenau, hr. Hülsen-Häseler, szef sztabu wojskowego, francuski dyplomata Lecomte, hr. Lynar, ks. Reuss, hr. Revenllow, hr. Wedel i wiele innych znanych osobistości.

W Hadze zamknięto 19-go b. m. konferencyę pokojową, która trwała 4 miesiące i radziła nad bardzo wielu rzeczami, mającemi się przyczynić do usunięcia wojen, lecz w rzeczy samej skromne tylko dała wyniki. Przew. konferencyi Nelidow i holenderski minister spraw zagranicznych wygłosili bardzo ładne mowy, w których sławili owocną pracę konferencyi, zaznaczając, że bądź co bądź konferencya przyczyniła się do utrwalenia pokoju i idei solidarności całej ludzkości. Również przemawiali delegaci Anglii, Włoch, Argentyny, Kolumbii, Persyi i łakomej na cudze dobro Japonii, podkreślając osągnięte przez konferencyę rezultaty. Wszyscy ludzie trzeźwi jednak będą wiedzieli, że jakiekolwiek byłyby rezultaty konferencyi, pokoju one nie zapewniają tak długo, póki w świecie panować będzie krzywda i ucisk jednych przez drugich. Tylko wprowadzenie zasad chrześciańskich także do polityki może uzdrowić ludzkość. Do tego jeszcze daleko, choć ufać trzeba, że przyjdzie. Wtedy nastanie Królestwo Boże na ziemi, o które błagamy Boga w każdym pacierzu.

W Rosyi są na porządku dziennym spiski i napady. Świeżo odkryto dwa spiski. Jeden zwrócony przeciw ministrom, drugi przeciw rodzinie cesarskiej. W obu przypadkach zdołano wczas wpaść na trop spiskowców i uniemożebnić zamachy. Straszliwy ferment objawia się w umysłach młodzieży rosyjskiej. Rozkład państwa coraz silniej działa na uczącą się młodzież. Ostatniemi czasy potworzyły się towarzystwa uczniów i uczennic wyższych szkół rosyjskich. W tych stowarzyszeniach odbywają się odczyty, świadczące o zupełnem zaniku idei patryotycznej, o zupełnem wytraceniu instynktu samozachowawczego, słowem o rozkładzie i zaniku narodowym, a dążności do roztopienia się w idei wszechludzkiej, kosmopolitycznej. Dodać należy, że w tych samych stowarzyszeniach, w których obrzuca się błotem ideę patryotyzmu i samodzielności państwowej, zwalcza się też wiarę w Boga i uprawia najbezecniejsze orgie płciowe. Jaka młodzież — taka przyszłość, a ponieważ straszna jest wielka część młodzieży rosyjskiej z obawą w przyszłość patrzeć należy.

O wizycie jen. Frencha w Rosyi rozpisują się gazety rosyjskie. Głównym jej celem było doprowadzić do porozumienia co do ewentualnego obsadzenia Persyi, w razie gdyby rozruchy w tym kraju nabrały charakteru niebezpiecznego dla zagranicy tj. poprawnie powiedziawszy, gdy będzie stosowna pora rzucenia się na rozdarte domową wojną państwo, na które od szeregu lat Rosya i Anglia kroją. Wiadomo przecież, że nie Turcya jest tym prawdziwie „chorym człowiekiem“ lecz Persya. Na Turcyą przyjdzie dopiero kolej po Persyi.

W Austryi wciąż jeszcze stan zdrowia cesarza budzi obawy, lubo bulletyny urzędowe twierdzą, że cesarz powraca do zdrowia. Należy pamiętać, że Franciszek Józef liczy 77 lat życia, a w wieku takim każda choroba jest niebezpieczna.

Austryackie gazety sygnalizują przesilenie w austryackiem ministerstwie. Ma ustąpić minister handlu Forszt, a miejsce jego ma zająć minister dla Czech Pazak.

W Marokku znów położenie się zaostrzyło, gdyż Marokańczycy napadli na wojska francuskie i dotkliwe im wyrządzili szkody. Jen. Drude ukarał ich za to doraźnie.

W Anglii gotują się na przyjęcie niemieckiej pary cesarskiej. Londyńska „Times“ napisała z tego powodu ostry artykuł przeciwko cesarzowi. Artykuł ten powtórzyły radykalne gazety angielskie. Dzienniki poważne jednak uprzejmie się o cesarzu i Niemczech wyrażają. Artykuł „Times“ wywołał burzę w prasie niemieckiej.

Z Chin nadchodzi wiadomość, jakoby cesarz chiński zapadł ciężko na zdrowiu i miewał krwiotoki.

Wiece, zebrania, zjazdy i uroczystości towarzyskie.

Szanowne Zarządy towarzystw, pragnących, ażeby ich ogłoszenia o zebraniach i t. p. na czas pomieszczone były w „Pracy“, prosimy, ażeby doniesienia swoje przesyłały nam najpóźniej *do środy wieczorem.* W razie świąt przypadających na drugą połowę tygodnia, t. j. na czwartek, piątek lub sobotę, prosimy o przesyłanie nam swych komunikatów — *o dzień wcześniej. — Za doniesienia nadesłane później, redakcya „Pracy“ nie przyjmuje na siebie żadnej odpowiedzialności.*

* * *

Zebranie wyborców miasta Poznania odbędzie się w przyszłą niedzielę dnia 27 października rb. na wielkiej sali Bazarowej o godzinie 12.

1) Zagajenie i ukonstytuowanie biura.
2) Sprawozdanie poselskie z działalności parlamentu posła p. *B. Chrzanowskiego.*
3) Sprawa projektu zakazującego używania języka polskiego na publicznych zebraniach.
4) Referat wyborczy.
5) Wnioski.
6) Zamknięcie zebrania.

Szanownych wyborców zapraszamy o liczne przybycie na zebranie niedzielne, aby usłyszeć relacyę naszego posła. Zebranie jest zwołane na żądanie wielu wyborców, i Komitet także ze swej strony uznał chwilę obecną za na czasie będącą, ażeby się zebrać w mieście naszem i omówić sprawy polityczne najwalniejszego znaczenia dla naszego społeczeństwa. Sala Bazarowa powinna się w niedzielę zapełnić uczestnikami po brzegi.

Komitet Wyborczy na miasto Poznań.
Dr. F. Kożuszkiewicz, przewodniczący.
Stanisław Offierski, zast. przewodn.
M. Powidzki, skarbnik.
Stefan Chociszewski, sekretarz.
Antoni Marweg, zast. sekretarza.

* * *

Posiedzenie Komisarzy „Straży“ na Poznań — Stare miasto — odbędzie się w wtorek, dnia 29. b. m. o godz. 9. wieczorem w Domu Przemysłowym (na salce ogrodowej).

Wiktor Ruczkowski,
starosta „Straży“ na Poznań — Stare miasto.

* * *

Walne Zebranie Towarzystwa Czytelni ludowych na powiat średzki odbędzie się *w niedzielę dnia 27 b. m.* o *godz. 4. po południu na sali p. Banasińskiego, na plantaży w Środzie.*

Osobne zebranie okręgowe na miasto Kostrzyn i okolicę odbędzie się w *niedzielę dnia 10. listopada w Kostrzynie;* miejsce i godzina będą później oznaczone.

Na obydwa zebrania wszystkich członków Towarzystwa, mianowicie p. p. bibliotekarzy i kolektorów, oraz osoby sprawie czytelnictwa życzliwe najuprzejmiej zaprasza

X. Rochalski,
delegat powiatowy.
Mączniki pod Środą, d. 20. X. 07.

* * *

Wiec „Straży“ w Miesiączkowie Zach. Pr. odbędzie się w niedzielę 27. b. m. o godzinie $3^1/_2$ po poł. na sali p. K. Borns'a.

Porządek obrad:

1. Sprawozdanie z rocznej czynności i czem jest „Straż.“
2. Położenie nasze i cele obronne przedstawi p. dr. Ulatowski red. „Gaz. Grudziądzkiej.“
3. Dalsza czynność społeczna „Straży“ p. Stefan Hoffman, delegat z Poznania.
4. Wolne głosy o wzajemnej obronie.
5. Objaśnienia statutów towarzystwa ludowego, i przyłączenie się do tegoż w Górznie.

O liczny i punktualny udział prosi rodaków miejscowych i z okolicy.

Bolesław Bardzki,
starosta powiatowy.

* * *

Przyszłe zebranie Tow. „Jedność“ na Wilhelmshaven-Rüstringen odbędzie się w niedzielę dnia 27. 10. o godz. 6. po poł. w lokalu *Heinrichshoff* w Keppens. Na porządku obrad *ważne sprawy.* O liczny udział członków i gości uprasza *Zarząd.*

Kwit pocztowy na „Pracę“ na miesiące listopad i grudzień zamieszczony jest w dziale politycznym.

Wiadomości.

* **Wiec kobiet,** *pracujących w handlu i przemyśle,* zwołany przez Stowarzyszenie personalu żeńskiego, odbył się w ubiegłą niedzielę w sali bazarowej. Wiecowniczki zgromadziły się bardzo licznie, sala była przepełniona. Zagaiła obrady panna *St. May,* wskazując na wzmocnienie organizacyi jako cel wiecu. Dotychczasowe lata pracy Stowarzyszenia nie były bezowocne, ale trzeba coraz bardziej wzrastać w siły, aby lepsze osięgnąć korzyści. Przewodniczącą obrano panią *Helenę Kubicką,* na sekretarki powołano panny *Wesołowską* i *Śniegocką.* Panna *Zofia Tułodziecka* mówiła na temat: „O potrzebie uświadomienia kobiet w sprawach społecznych i ekonomicznych.“ Na temat: „Kobieta w handlu i stosunek personalu do pryncypała“ przemawiała panna *Wrzesińska.* Panna *Anna Żurkowska* mówiła o pierwszorzędnem krawiectwie damskiem. O haftach artystycznych mówiła panna *Irena Wilczyńska.* Pani doktorowa *Libekowa* ze Środy mówiła na temat: „Sprawy etyczno-społeczne.

Na zakończenie obrad przewodnicząca dziękowała wiecowniczkom za liczny udział i wzywała do łączenia się w Stowarzyszeniu personalu żeńskiego.

Wśród wiecowniczek rozdawano kwestyonaryusze, aby odpowiedziały na kilkanaście pytań, odnoszących się do ich pracy i płacy, oraz do ich wykształcenia zawodowego.

* **Wiec „Straży“ w Barcinie** odbył się w ubiegłą niedzielę na sali p. Orcholskiego. Napływ ludu był ogromny, ale policya wpuściła na całe tylko 200 osób. Przemawiali: pp. Siódmak z Łabiszyna, starosta „Straży“ na powiat szubiński, Stanisław Kunz, delegat „Straży“ z Poznania i Julian Brzeski z Krotoszyna.

* **Baczność!** Rodzice, którzy pragnęliby chociaż przez kilka godzin tygodniowo powierzać swe dzieci opiece godnych osób, mogą w tym celu zgłaszać się we wtorki i piątki od godziny 4—$5^1/_2$ na Rybaki nr. 6 parter, wchód z bramy na prawo.

* **Z fortecy wrócił** ks. Zaremba, wikaryusz z Kcyni. Ks. Zaremba musiał odpokutować kaźnię trzymiesięczną w Swinoujściu za to, że bronił nauki religii — w języku polskim. Tłumy parafian witały księdza Zarembę. Miasto było przystrojone w girlandy. Nastrój w mieście panował podniosły.

* **Jeszcze nie koniec strejku szkolnego.** W Wielkim Krosinie w pow. obornickim — jak piszą „Gaz. Gr.“ — dzieci nie odpowiadają na niemieckie pytania w nauce religii. Kar wyznaczonych po 30 do 90 marek nikt z rodziców nie zapłacił, a żandarmom oświadczono, że pójdą za przykładem księży do więzienia.

* **Proces za przyjmowanie księży.** Ks. proboszcz Okoniewski, pan adwokat Kurzętowski i wielu innych obywateli z Lubawy w Prusach Zach. stawało w tych dniach przed sędzią śledczym. Wytoczono im proces z powodu przyjmowania księży dekanatu lubawskiego, powracających z więzienia.

* **Z kół lekarskich.** Celem pośredniczenia w osiedlaniu się lekarzy zawiązał się z inicyatywy szerszego grona kolegów niżej podpisany komitet. Osoby interesowane uprasza się o podawanie miejsc nadających się do osiedlania lekarzy oraz o bliższe informacye na ręce dra Szulczewskiego (Poznań, Stary Rynek 59 i 60). Kolegów nie mających dotąd stałego miejsca zamieszkania, prosimy uprzejmie o łaskawe podanie swych adresów.

Dr. Bolesław Kapuściski. Dr. Paweł Gantkowski. Dr. Tadeusz Schultz. Dr. Bronisław Szulczewski.

* **Z Towarzystwa Urzędników Gospodarskich.** Szanownym Członkom przypominamy uchwałę Walnego Zebrania z dnia 10 marca rb., opiewającą, aby każdy członek, uzyskawszy posadę przez Biuro Towarzystwa, zaciągał tem samem dług honorowy w wysokości 5—10 marek, wedle własnego uznania. Zebraną w ten sposób gotówkę przeznacza się na powiększenie funduszu na „Dom Przytułku.“

Zwracając na powyższą uchwałę uwagę, prosimy wszelkie składki przesyłać na ręce sekretarza głównego Towarzystwa pod adresem J. Winiewicz, Poznań, ulica Ogrodowa 13.

Zarząd główny.
K. Brownsford, prezes.

* **Jan nie Johannes.** Pan Jan Nowak z Gniezna otrzymał od policyi mandat karny za to, że na godle swem miał wypisane Jan a nie, jak policya chciała, Johannes. Pan Nowak odwołał się do sądu i dowiódł, że ojciec jego o łacinie pojęcia nie miał, dalej że tylko bardzo słabo mówił po niemiecku, że zatem nie mógł dać synowi swemu na chrzcie imienia Johannes, lecz jedynie Jan. Janem go też przez całe życie nazywał, a jeżeli w księgach kościelnych znajduje się Johannes, to jest to tylko tłomaczenie polskiego Jana.

Sąd uznał, że wywody oskarżonego są słuszne i przyznał, że właściwem jego imieniem jest Jan.

* **Komisya kolonizacyjna** nie próżnuje mimo, że podobno dotychczasowe jej środki mają być wyczerpane. Świeżo kupiła znowu wielki majątek rycerski Otorowo w powiecie szamotulskim, obejmujący około 4000 mórg. Ostatnim właścicielem tego majątku był p. Hepner.

Podreperowanie komisyi przez rząd zdaje się być pewnem. Inaczej nie

puszczałaby się na zakupna, stojąc przed zupełnem bankructwem.

* **Lutrzenie Księstwa** do niedawna uprawiane dorywczo, od pewnego czasu traktowane **jest *systematycznie,*** *według pewnego, z góry określonego* planu. Niema prawie dnia, gdziebyśmy na objaw ten nie zwracali uwagi. Szczególnie należy dać baczne oko na działalność pastora Rosenberga, który wyłącznie tylko lutrów na ziemi naszej osadza. Pastor ów rozszerzył swoje pole działania aż na Kujawy. Niedawno temu odbyła się w tej sprawie konferencya w *Inowrocławiu,* na której postanowiono osiedlić na nabytym przez miasto od Hübnera gruncie *100 rodzin* robotniczych, oczywiście luterskich, po większej części sprowadzonych z Rosyi. Osada ta należeć będzie do gminy miejskiej, skutkiem czego naturalnie na miasto spadną nowe ciężary. Tak np. koszta wodociągowe wynoszą w przypuszczeniu 6800 mk., tymczasowe koszta szkolne obliczono na *30 000 mk.,* nie mówiąc już o innych kosztach, jak np. na zakładanie ulic, bruki itp. Mimo tych ogromnych wydatków jednorazowych i ciężarów stałych, jakie utworzenie tej kolonii za sobą pociągnie dla miasta, które i tak już pod ciężarem podatków upada, rada miejska na ostatniem posiedzeniu z dnia 15 bm. na wszystko się zgodziła.

* **Hakatyści a wojsko polskie.** Wojsko polskie, istniejące wedle mniemania hakatystów, w Ameryce, nie daje spokoju tym biedakom. „Ostmarkenverein" będąc w gorączkowym strachu, wysyła do Stanów Zjednoczonych swego głównego sekretarza Schoultza, by przekonał się naocznie o wojsku polskiem i o polskich organizacyach. Możeby też kogo na księżyc wysłać zechcieli, aby się przekonał, czy i tam czasem nie ma polskich kos!

* **Z teatru.** Sobota: Nowość: *„Cierpki owoc,"* komedya w 3 aktach Roberta Bracc'a, niesłychanie dowcipna i pikantna, na tle życia modernistycznych salonów, odznacza się oryginalnością pomysłu, wytwornym humorem i sprężystą akcyą. Sztuka ciesząca się dużem powodzeniem na scenach zagranicznych, zdobyła sobie i u nas, w Warszawie i Krakowie, nadzwyczajne uznanie prasy i publiczności. *(Ceny zwyczajne).*

W niedzielę popołudniu o godz. 3: *„Pod białym koniem,"* komedya w 3 aktach. (*Ceny do połowy zniżone*).

W niedzielę wieczorem: *„W ruinach"* czyli *„Fałszerze pieniędzy"* wielce efektowny melodramat w 5 aktach ze śpiewami i tańcami, przez Alfę i Omegę z muzyką Kratzera. (*Ceny zwyczajne*).

W poniedziałek: *„Edukacya Bronki"* komedya w 3 aktach.

Wtorek: *„Cierpki owoc,"* komedya R. Bracc'a.

Środa: *„W ruinach"* czyli *„Fałszerze pieniędzy,"* melodramat w 5 aktach.

* **Przestroga** *dla wychodźców do Ameryki.* Od wicecenzora Związku Narodowego Polskiego w Północnej Ameryce p. Józefa Kruszki z Milwaukee, odbieramy z prośbą o ogłoszenie następującą przestrogę:

Przed niejakim czasem gazety polskie w Europie podawały szumne ogłoszenia jakiejś kompanii, posiadającej w Wisconsinie wielkie obszary gruntów, które sprzedaje bardzo tanio itd. Kompania ta przez krótki czas ogłaszała się także w polsko-amerykańskich pismach, lecz przed niejakim czasem znikła z widowni.

Czy była uczciwą lub nie — tego nie mogliśmy zbadać. Ostrzegamy jednakowoż szan. Rodaków, mających zamiar opuścić ojczyznę, aby nie kupowali gruntu od żadnej kompanii bez poprzedniego poinformowania się. Sejm Związku Narodowego Polskiego w Stanach Zjednoczonych, liczącego 50,000 członków, ustanowił Komisyę rolnictwa i kolonizacyi, której zadaniem jest badać grunta i informować tych, którzy mają zamiar osiedlić się na roli. Komisya udziela informacyi każdemu bezpłatnie.

Zaznaczamy tu, że najwięcej rolników znajduje się w północno-zachodnich Stanach, mianowicie: Wisconsin, Michigan, Minnesoto i Dakota, gdzie mają swe polsko-katolickie szkoły i kościoły. Klimat w tych Stanach jest taki jak w Polsce.

Klimat w południowych Stanach jest za gorący dla emigrantów, więc ostrzegamy ich przed namową agentów kompanii okrętowych, wysyłających wielu do południowych portów jak Galveston lub New-Orleans.

Wszelkich informacyi względem gruntów itd., udzielamy bezpłatnie. Adresować: Komisya Rolnictwa i Kolonizacyi Związku Narodowego Polskiego 895—5 ave. Milwaukee Wis.

Z szacunkiem
Józef Kruszka,
prezes Komisyi i Wicecenzor Związku Narodowego Polskiego.

P. S. Wszystkie pisma polskie prosimy o powtórzenie tego ostrzeżenia.

* **Koźmin.** W tych dniach założono w mieście naszem — na Koźmin i okolicę — *Towarzystwo kupców.* Do Zarządu wybrano pp. S. Podlewskiego, prezesem, W. Dokowicza, zast. prezesa, A. Dehmla, sekretarzem, C. Suwalińskiego, skarbnikiem i M. Kołaskiego, bibliotekarzem. Zebrania odbywają się w pierwszy wtorek miesiąca o godz. 9-tej wieczorem w lokalu p. Podlewskiego.

* **Renomowany**, od lat 11-tu istniejący zakład fotograficzny p. *Józefa Stolskiego,* przeniesionym został z Wielkich Garbar do „Pałacu Przemysłowego" przy *ulicy Szerokiej nr. 20.* Jestto *jedyny* zakład fotograficzny w Poznaniu, który, dzięki odpowiednim warunkom technicznym, wybudowano *na parterze.* Uważamy za zbyteczne, dzielnego fachowca polecać szczególniej.

* **Pan W. Łyczyński**, właściciel magazynu modnych bławatów i płócien, przeniósł swój skład z dotychczasowego miejsca przy placu Wilhelmowskim do narożnika ulic Nowej i Szkolnej wprost naprzeciwko domu p. Ignatowicza. Obszerny lokal sprzedaży i doborowy towar dają rękojmię, iż pan Łyczyński ku zadowoleniu obsłuży klientelę, zachęcamy zatem czytelniczki nasze do poczynienia tamże swych zakupów.

* **Pan Tadeusz Borna** lekarz-dentysta osiedlił się w Poznaniu i mieszka przy ulicy Wiktoryi 18 wprost ulicy Berlińskiej. Odbywszy studya w Hali, Monachium i Wrocławiu pracował p. B. jako asystent w Rostoce, Wilhelmshafen i Hamburgu, a w końcu był pierwszym asystentem w Hanowerze. Zwracamy uwagę na ogłoszenie.

* **Pan Wacław Schwarz**, właściciel karlsbadzkiej piekarni przy św. Marcinie nr. 5, blisko pomnika Mickiewicza, pobił znacznie obcą konkurencyą, która myślała, iż jedyną jest na miejscu do wyrabiania *sucharków* i chleba Grahama. Prosimy zatem rodaków, aby pomni hasła popierania swoich zrobili próbę, a z pewnością zasmakują im polskie sucharki lepiej od niemieckich.

* **Zwracamy uwagę** na ogłoszenie *p. L. Plucińskiego,* który wyrobami swemi siodlarskiemi wyrobił sobie zasłużoną renomę w naszej dzielnicy. Pan L. Pluciński sprosta wszelkim wymaganiom; kto chce poprzeć przemysł swojski niechaj się uda z zaufaniem do pana Pl., a z pewnością się nie zawiedzie.

Nekrologia.

† *S. p. St. Karolczak,* prezes okręgu IX-go „Sokoła" z Marten, poniósł śmierć w kopalni dnia 18-go b. m. skutkiem nieszczęśliwego wypadku. R. i. p.

† *S. p. Ludwik Kaczmarkiewicz,* dnia 19-go b. m. w Łąkiem w 60 roku życia. Pogrzeb odbył się dnia 22-go b. m. w Strzelnie. R. i. p.

† *S. p. Antonina z Gościńskich Rohr* dnia 19-go b. m. w Strzelnie, przeżywszy lat 92. R. i. p.

Wiadomości literackie i artystyczne.

Józef Szmyt. *Poezye, raczej rymy oko- i nieokolicznościowe.*

Już z tytułu widzi czytelnik, że zasłużony redaktor „Wielkopolanina" przynosi mu wesołą czytankę. Są w tej książeczce rzeczy nowsze, są i starsze, dziś nie aktualne, lecz właśnie wspomnieniem miłe i warte czytania. Dość duży zbiorek wierszy — 228 stronnic — tchnie zdrowym humorem. Wiersze są pisane dobrze, ładną polszczyzną, zawierają niejedną zdrową moralną naukę i chłoszczą za pomocą śmiechu niejedną wadę naszą. Możemy śmiało polecić zbiorek ten łaskawym czytelnikom. Każdy go czytać może nawet pensyonarki, a i to coś warte w dzisiejszych czasach. Szanownemu weteranowi na niwie dzien-

nikarskiej i literackiej życzymy najlepszego sukcesu z wydanej książeczki, tak moralnego, jak materyalnego.

* **Prawo procesowe** *cywilne w Prusiech.* Podręcznik dla ludu polskiego z nauką o sądach polubowych, zwyczajnych, procederowych i kupieckich z wzorami do podań w niemieckim i polskim języku, napisał Konstanty Kościński w Poznaniu (ul. Cesarza Wilhelma nr. 32). Oto tytuł bardzo pożytecznej publikacyi. Obejmuje ona w streszczeniu całokształt cywilnego prawa procesowego, a mianowicie wyjaśnienie o prawie materyalnem i formalnem, o sądach polubowych, urządzeniu sądownictwa, przedawnieniu, prawie ubogich, nakazach płatniczych, pozwaniu do ugody, pozwaniu po wydaniu nakazu płatniczego, o skardze; przytoczone są też wzory różnych skarg (o zwrot pożyczki, z weksla, o zapłatę towaru, o zapłatę roboty, o wyprowadzenie się z mieszkania); dalej jest tam nauka o ustnej rozprawie, o zastępstwie, wyroku, co czynić skoro wyrok zapadł, o wyrokach tymczasowo wykonalnych, a zaczepieniu wyroków zaocznych, o odwołaniu się do wyższej instancyi, o zatwierdzeniu kosztów, egzekucyi, zajęciu i sprzedaży ruchomości, o przewłaszczeniu wierzytelności, zapisaniu pretensyi na hipotece i innych środkach egzekucyjnych. Jest też pouczenie o tem, co wolno, a czego nie wolno zająć czyli fantować, a w końcu o sądach kupieckich i procederowych. Cena 75 fen. Jestto wydawnictwo tanie, praktyczne i polecenia godne.

* **Treść numeru 18-go „Kupca.“** Przed sezonem zimowym. Odezwa Zarządu Kupieckiego na rzeszę niemiecką z siedzibą w Inowrocławiu. Zebranie miesięczne Związku podróżujących kupców. Czek i prawo czekowe Kronika przemysłowa. Towaroznawstwo. Dziś — a dawniej. Ważne wiadomości ze świata handlowego. Zjazd Ligi Pomocy Przemysłowej. Rady i wskazówki. Konjunktury. Odpowiedzi od Redakcyi.

„Kupca“ na nowy kwartał abonować można na każdej poczcie i u listonoszów za 1 mrk. kwartalnie.

Od Redakcyi.

— *Pani Z. H. w Stanisławowie* (Galicya). — Zechciej Szan. Pani nadesłać do administracyi „Pracy“ 3 korony 28 halarzy, a wysyłać będziemy pocztą pod opaską.

Panu I. S. w Altenbochum. Towarzystwo „Sokół“ może mieć tylko nazwę „Sokół,“ a nie inną.

— *Panu I. S. w Pelplinie.* — Za życzenia dziękujemy najserdeczniej.

— *Panu Ludwikowi S. w Inowrocławiu.* — Cieszymy się bardzo, że możemy zaliczyć Szan. Pana w poczet naszych nowych przedpłacicieli; za życzenia dziękujemy najserdeczniej.

— *Panu Kazimierzowi W. w Köpenick.* — Nadesłanego wiersza zamieścić nie możemy ze względu na prokuratora!

— *Pani Zofii G. w Buku.* — Za „Szczęść Boże“ dziękują nowi pracownicy najserdeczniej!

Myśli i zdania.

Warto chociażby raz, na chwilę jedną,
Położyć palce na dusz ludzkich ranie,
I w lepsze światy zawieść rzeszę biedną,
Prawdy i piękna dać jej pożądanie.
Adam Asnyk.

* * *

Nie łez nam potrzeba, lecz siły.
Marya Konopnicka.

* * *

Największem nieszczęściem dla społeczeństwa są ludzie mali, których to społeczeństwo robi wielkimi.
Adam Sapieha.

* * *

W rozbolałego serca żywą księgę,
Zapisz na zawsze słowa takiej treści:
Jak ruda w ogniu znajduje potęgę
Oczyszczającą, — tak człowiek w boleści.
Jan Kasprowicz.

* * *

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomym z zachętą do prenumeraty

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für die Monate November u. Dezember 1907 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)
für 1,00 Mark.

(Imię i nazwisko):

(Mieszkanie):

Obige 1,00 Mark erhalten zu haben, bescheinigt

, den 1907.

Kaiserl. Post

LUDWIK STEVENSON.

Wyspa skarbów.

7) Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy.)

Rada kapitana została przyjętą. Rozdano pistolety nabite ludziom pewnym. Hunter, Joyce i Tedrut zostali przypuszczeni do tajemnicy i przyjęli nowinę z mniejszem zdziwieniem i większą odwagą, niż się można było spodziewać. Potem kapitan wyszedł na pokład i przemówił do załogi:

— Moje dzieci — rzekł — mieliśmy dzisiaj ciężki dzień i wszyscy jesteśmy pomęczeni i rozdrażnieni. Mała przechadzka po wybrzeżu nie zaszkodzi nikomu, i będzie miłym wypoczynkiem. Łodzie są jeszcze spuszczone. Możecie je zabrać i pojechać, kto sobie życzy, na wybrzeże, na całe popołudnie. Wystrzelę z armaty na pół godziny przed zachodem słońca na znak powrotu.

Głupi majtkowie myśleli zapewne, że skoro tylko stąpią nogą na ląd, skarby same roztworzą się przed nimi w łonie ziemi, gdyż natychmiast poprawiły im się humory i przyjęli propozycyę kapitana tak głośnem: hurra! że aż echo rozbrzmiało po górach, a ptactwo strwożone zaszybowało znowu ponad przystanią.

Kapitan był zbyt mądry, aby sterczeć im na oczach. W jednej chwili znikł z pokładu, powierzając Silverowi urządzenie wyjazdu i sądzę, że postąpił bardzo roztropnie. Gdyby był pozostał na pokładzie, nie mógłby udawać dłużej, że nie rozumie położenia. Rzecz była jasną, jak dzień. Silver był kapitanem i trzymał w ręku zbuntowaną załogę. Uczciwi majtkowie, a przekonałem się wkrótce, że byli i tacy, musieli być bardzo głupi, aby tego nie spostrzedz. A raczej, zdaje mi się, wszyscy majtkowie byli mniej lub więcej, zarażeni złym przykładem prowodyrów, lecz niektórzy, dobrzy chłopcy w gruncie rzeczy, nie chcieli posuwać się dalej. Inna to rzecz próżniaczyć i odpowiadać hardo, a inna napadać na okręt i mordować niewinnych ludzi.

Wreszcie wszystko się ułożyło, sześciu majtków miało pozostać na okręcie, a reszta, w liczbie trzynastu, zaczęła sadowić się na łodzie.

Wtedy to przyszła mi do głowy pierwsza z tych szalonych myśli, które przyczyniły się tak wielce do naszego ocalenia. Ponieważ Silver pozostawił sześciu ludzi, było widocznem, że nie możemy opanować i obronić okrętu; ponieważ ich było tylko sześciu, moi przyjaciele mogli się obejść bez mojej pomocy. Powstała we mnie myśl, aby pojechać także na brzeg. W jedno mgnienie zsunąłem się po linie i przykucnąłem na dnie najbliższej szalupy, odbijającej właśnie od statku.

Nikt mnie nie zauważył, prócz jednego z wioślarzy. — Ach, to ty Jim! — odezwał się. — Schyl głowę. — Usłyszał to Silver i spojrzawszy bystro w naszą stronę, zapytał głośno z drugiej łodzi, czy to ja jestem istotnie?

Teraz dopiero zacząłem żałować mego nierozważnego postępku.

Majtkowie płynęli do brzegu na wyścigi, ale łódź, na której się znajdowałem, odbiła pierwsza, a ponieważ była najlżejsza i miała najlepszych wioślarzy, wyprzedziła znacznie swe towarzyszki. Skoro tylko wiosła uderzyły o nadbrzeżne drzewa, nie czekając aż łódź stanie, uchwyciłem się pierwszej gałęzi i wyskoczywszy jednym susem na brzeg, przepadłem w najbliższych krzakach, podczas gdy Silver z resztą majtków znajdował się jeszcze jakie sto yardów w tyle.

— Jim! Jim! — słyszałem, jak mię wołał.

Ale, ma się rozumieć, nie zwróciłem na to najmniejszej uwagi i skacząc, nurkując i przedzierając się po przez gąszcze biegłem prosto przed siebie póki mi starczyło tchu!

Rozdział XIV.

Pierwsze starcie.

Byłem tak ucieszony, żem się wymknął Długiemu Johnowi, że odpocząwszy nieco, zacząłem rozglądać się ciekawie po dziwnej okolicy, do której zabłądziłem.

Biegłem zrazu po bagnistej drodze, porosłej wierzbami i sitowiem, oraz dziwacznego kształtu, egzotycznemi moczarowemi drzewami. Obecnie zaś wydostałem się na twardą, piaszczystą polanę, ciągnącą się na przeszło milę, na której rosły rzadkie sosny i liczne dziwnie pokręcone drzewa, wielkości dębu, o bladem uliścieniu brzóz. W mrocznej oddali widniała sylwetka jednej z gór, o dwóch osobliwych, stromych szczytach, rysujących się jaskrawo w blasku słońca.

Uczułem poraz pierwszy w życiu rozkosz, jakiej musi doznawać podróżny, zwiedzający nieznane kraje. Wyspa była bezludna, moi towarzysze okrętowi pozostali daleko poza mną, przed sobą miałem tylko nieme zwierzęta i płochliwe ptactwo. Biegałem swobodnie pomiędzy drzewami. W około rosły jakieś rośliny, pokryte kwieciem, pełzały węże, a jeden podniósł głowę z poza skały, na której leżał zwinięty i syknął, wydając odgłos, jakby brzęczenie bąka. Nie przypuszczałem wówczas, że to był jeden z najzjadliwszych węży; a brzęk ten wydawały jego grzechotki.

Potem przyszedłem do wielkiej gęstwiny owych podobnych do dębów drzew, które, jak się później dowiedziałem, rosną zawsze na piaskach. Gałęzie ich splatały się z sobą w najfantastyczniejszy sposób, tworząc zwarty gąszcz listowia. Bór ten ciągnął się poczynając od jednej z piaszczystych wydm, rozszerzał i rósł coraz wyżej i wspanialej i kończył u skraju, pokrytego trzciną i sitowiem bagna, przez które właśnie najbliższa z owych dwóch rzeczek, jakie zauważyłem z okrętu, sączyła swoje wody do zatoki przystaniowej. Pod działaniem ciepła słonecznego, z bagna unosiły się gęste opary i zdawało się, że sylwetka wzgórza Lunety chwieje się drżąc wśród błękitnej mgły.

Nagle trzciny zakołysały się i zaszumiały: z głośnym krzykiem wyleciała dzika kaczka w górę, za nią druga i trzecia i niebawem ponad całą powierzchnią trzęsawiska zaszybował wielki obłok ptaków, krzyczących i krążących w powietrzu. Domyśliłem się odrazu, że zapewne któryś z moich towarzyszy okrętowych zbliża się do błota. Nie myliłem się bynajmniej, gdyż wkrótce usłyszałem bardzo dalekie i przytłumione dźwięki głosu ludzkiego, które, gdy nasłuchiwałem dalej, stawały się coraz głośniejsze i bliższe.

Przeraziłem się mocno i przycupnąwszy poza najbliższym dębem, słuchałem, tłumiąc dech w sobie, jak spłoszona mysz.

Drugi głos odpowiedział, a potem pierwszy, który ku memu przerażeniu poznałem jako głos Silvera, odezwał się znowu i mówił długo, płynnie i przekonywająco. Tamten przerywał mu chwilami.

Wnosząc z tonu, rozmowa musiała być poważną i nawet gwałtowną, ale nie mogłem dosłyszeć ani słowa.

Wreszcie rozmawiający umilkli i zdawało się, że usiedli, gdyż nietylko głosy przestały się przybliżać, ale nawet ptaki uspokoiły się widocznie i zaczęły spadać zwolna na trzęsawisko.

Teraz ogarnęło mnie uczucie, że zaniedbuję mego obowiązku, że jeżeli byłem tak szalony, aby wybrać się na tę wycieczkę z desperatami, należało mi przynajmniej posłuchać ich narady, i że prosta i jawna powinność nakazuje mi zbliżyć się do nich o ile możności pod przyjazną osłoną nizkich drzew i krzaków.

Mogłem poznać łatwo kierunek, w jakim iść mi należało, z głosu rozmawiających i zachowania się kilku ptaków, które wciąż jeszcze nieufne i strwożone, zawisły w powietrzu ponad głowami intruzów.

Pełzając po czworakach, posuwałem się powoli, ale pewnie. Wreszcie podniósłszy głowę, ujrzałem bardzo wyraźnie poprzez szczelinę listowia małą, zieloną kotlinkę obok bagna, otoczoną gęsto drzewami, w pośrodku której stał długi John Silver z jednym z majtków, przekładając mu coś z ożywieniem.

Słońce oświecało ich jasno.

Silver zrzucił kapelusz na ziemię, tak że mogłem widzieć jego gładką, w obramowaniu jasnych włosów, całą lśniącą od potu twarz zwróconą ku współbiesiadnikowi niemal z błagalnym wyrazem.

— Wierz mi przyjacielu — mówił — że cenię cię, jak złoto; jak złoto, powiedziałem. Gdybym cię nie kochał, czyż ostrzegałbym cię teraz? Wszystko skończone, nic na to nie poradzisz. Ja chcę tylko ciebie ocalić, gdy który z tamtych dowie się o tem, co się ze mną stanie, powiedz sam, Tom, co się ze mną stanie?

— Silverze — odparł majtek głosem ochrypłym, jak skrzeczenie wrony i drżącym, jak mocno wyprężona lina; a twarz mu się zaczerwieniła, — Silverze — mówił — jesteś już stary i jesteś uczciwy, a przynajmniej uchodzisz za takiego; masz także pieniądze, a to rzadko przytrafia się między majtkami; jesteś również walecznym, jak mi mówiono, i mimo to wszystko ulegasz temu tłumowi niegodziwców? Nie, to niepodobna! Bóg mi świadkiem, że wolałbym raczej stracić obie ręce! Jeżeli zdradzę moje obowiązki...

Urwał nagle, usłyszawszy jakiś daleki hałas. Znalazłem więc jednego uczciwego majtka, a niebawem dowiedziałem się o drugim jeszcze. Daleko— poza błotem — rozległ się nagle krzyk oburzenia, drugi w ślad za nim, a potem straszny przeciągły jęk. Skały wzgórza Lunety powtórzyły go kilkakrotnem echem. Spłoszona gromada ptaków błotnych zawirowała znowu w powietrzu, zaciemniając niebo, niby szarą chmurą. Długo potem śmiertelny ten jęk brzmiał mi w uszach, choć wszystko umilkło i tylko szelest skrzydeł opadających na swe miejsca ptaków i daleki szum fal mącił duszną ciszę upalnego popołudnia.

Tom skoczył na ten dźwięk, jak koń, spięty ostrogą, ale Silver nawet okiem nie mrugnął. Stał spokojnie, wspierając się zlekka na kuli i śledząc wzrokiem towarzysza, jak wąż, gotujący się do skoku.

— John! — zawołał majtek, wyciągając rękę.

— Precz z rękoma! — krzyknął Silver, odskakując w tył ze zręcznością i pewnością wytrenowanego gimnastyka.

— Jak ci się podoba, Johnie Silver, — odparł majtek. — Czarne musisz mieć sumienie, skoro się mnie boisz. Ale powiedz mi na miłość Boską, co to było?

— To? — odparł Silver, uśmiechając się wciąż złowieszczo, a oczy mu iskrzyły na szerokiej twarzy, jak dwa żarzące punkciki.

— To? O! poznaję, tak, to był Allan.

Na te słowa biedny Tom zapłonął jak bohater.

— Allan! — zawołał. — Pokój jego uczciwej marynarskiej duszy!... Co zaś do ciebie, Jonie Silverze, byłeś długo moim kolegą, ale dziś już moim kolegą nie jesteś. Jeżeli zginę jak pies, zginę w obronie mego obowiązku. To ty zabiłeś Allana wszak tak? Zabijże i mnie, jeżeli śmiesz. Ale ja urągam ci.

Mówiąc to dzielny chłopiec odwrócił się tyłem do kucharza i począł iść ku wybrzeżu. Ale nie sądzonem mu było zajść daleko. Z dzikim krzykiem John uchwycił się gałęzi i porywając swoją kulę, którą trzymał pod pachą, rzucił tym osobliwym pociskiem za odchodzącym. Kula gwizdnęła w powietrzu i z druzgocącą siłą ugodziła biedaka swym grotem w sam środek pleców, pomiędzy łopatki. Rzucił rękoma, jęknął głucho i upadł.

Czy cios ten go zabił na miejscu, czy tylko zranił, to pozostanie wieczną tajemnicą. Sądząc z siły uderzenia, musiało mu ono złamać stos pacierzowy. Ale nie miał czasu oprzytomnieć. Silver, ze zręcznością małpy, choć bez nogi i kuli, w dwóch susach siedział już na nim i wbił swój nóż aż po rękojeść w bezbronne ciało. Mogłem słyszeć z mej kryjówki, jak sapał przytem głośno.

Nie wiem, co to właściwie znaczy omdleć, ale to wiem, że przez następne parę chwil świat cały tańczył przedemną, jak wśród wirującej mgły: Silver i ptaki i wysoki szczyt wzgórza Lunety kołował mi w oczach, a w uszach rozlegał się szum i dzwonienie i głośny szmer dalekich głosów.

Kiedy przyszedłem do siebie, zbrodniarz stał już wyprostowany, z kulą pod pachą, w kapeluszu na głowie. Na skrwawionej murawie, tuż u jego stóp, leżał trup majtka, ale morderca nie zwracał nań najmniejszej uwagi i wycierał spokojnie zbroczony krwią nóż o kępkę trawy. Zresztą nic się nie zmieniło. Słońce jaśniało bezlitośnie ponad parującem bagnem i dalekim szczytem gór i zaledwie mogłem wierzyć sam sobie, że przed chwilą — w moich oczach — popełnionem tu zostało morderstwo i przerwaną okrutnie nić młodego życia ludzkiego...

Po chwili John sięgnął ręką do kieszeni i wydobywszy gwizdawkę, dał kilka rozmaicie cieniowanych gwizdków sygnałowych, które ostrym dźwiękiem przeszyły rozpalone powietrze. Nie rozumiałem, naturalnie, znaczenia sygnału, ale przeląkłem się mocno. Nadbiegnie ich więcej, mogą mnie odkryć. Zabili już dwóch uczciwych majtków. Kto wie, po Tomie i Allanie może teraz na mnie kolej?

Nie tracąc chwili, zacząłem rozsuwać osłaniające mnie gałęzie i z jak największym pospiechem i cichością puściłem się pełzając z powrotem ku polanie. Poza mną rozbrzmiewały głośne okrzyki i nawoływania pomiędzy starym piratą a jego towarzyszami, ale dźwięki te dodawały mi skrzydeł. Skoro tylko wydostałem się z gęstwiny, zacząłem biedz co tchu, nie zważając na kierunek mej ucieczki, byle tylko znaleść się jak najdalej od tych morderców. Lecz im prędzej biegłem, tem większy strach rósł we mnie, dochodząc niemal do szaleństwa.

Istotnie, czyż kto znajdował się kiedykolwiek w smutniejszem położeniu?

Gdy zagrzmi wystrzał armatni, jak ośmielę się usiąść w łodzi pomiędzy zbrodniarzami, obryzganymi dymiącą się jeszcze krwią niewinną, którą przelali? Czyż pierwszy z nich, ujrzawszy mnie, nie skręci mi szyi, jak kurczęciu? Czyż sama moja nieobecność nie będzie przed nimi jawną oznaką mojej trwogi, a zatem fatalnej świadomości ich zbrodni? Wszystko skończone, myślałem. Żegnaj „Hispaniolo", żegnaj Esquire, żegnajcie doktorze i kapitanie. Nic mi nie pozostało, tylko śmierć z głodu, lub śmierć z ręki dzikich rokoszan.

Wśród tych smutnych rozmyślań, biegłem nieustannie i sam nie wiem, jak i kiedy, znalazłem się u stóp małego wzgórza z dwoma szczytami, w tej części wyspy, gdzie dęby zielone rosły rzadziej i z kształtu i rozmiarów przypominały więcej drzewa leśne. Pomiędzy nimi rozsiane były nieliczne sosny, jedne pięćdziesiąt, inne siedemdziesiąt stóp wysokie. Powietrze było tu także znacznie świeższe i czystsze, jak na bagnach.

Wtem — skamieniałem z przerażenia, a serce zabiło mi, jak młotem.

Rozdział XV.

Mieszkaniec wyspy.

Ze stoku wzgórza, które było tu bardzo strome i kamieniste, posypał się nagle drobny żwir, roztrącając z głośnym szelestem gałęzie drzew. Instynktownie zwróciłem oczy w tę stronę i zobaczyłem jakąś postać, skradającą się z wielką szybkością poza pniem sosny. Czy był to niedźwiedź, człowiek, czy małpa, tego nie umiałbym powiedzieć, spostrzegłem tylko, że nieznana ta istota była ciemna i kosmata. Strwożony tem zjawiskiem, stanąłem w miejscu, jak wryty.

Byłem teraz, jak się zdawało, wzięty w dwa ognie: poza mną mordercy — przedemną ten szkaradny dziwotwór. Pomyślałem sobie natychmiast, że lepiej mieć do czynienia z niebezpieczeństwem znanem, aniżeli z nieznanem. Silver sam wydał mi się mniej strasznym, w porównaniu z tą istotą leśną. Zawróciłem więc szybko i oglądając się trwożnie poza siebie, pobiegłem w kierunku łodzi.

Natychmiast postać ukazała się znowu i zataczając wielkie koło, zaczęła mnie doganiać. Byłem zmęczony, to prawda, ale gdybym miał nawet zupełnie świeże siły, daremnie próbowałbym ubiegać się co do szybkości, z podobnym współzawodnikiem. Z pnia na pień, stworzenie pędziło, jak łania, biegnąc na dwóch nogach wprawdzie, jak człowiek, ale w sposób zgoła nieczłowieczy, robiąc niemal podwójne kroki. Był to jednak człowiek — nie mogłem o tem wątpić dłużej.

Przyszły mi na myśl opowiadania o ludożercach. O mały włos, a byłbym zawołał o pomoc. Ale sam fakt, że bądź co bądź był to człowiek, jakkolwiek dziki, uspokoił mnie trochę, a równocześnie zbudził się z dawną siłą strach, jakim mnie przejmował Silver. Zatrzymałem się więc i zacząłem rozważać w myśli, w jaki sposób mógłbym uciec lub skryć się. W tem przypomniałem sobie o nabitym pistolecie. Świadomość, że nie jestem bezbronny, napełniła mi serce nową odwagą. Zwróciłem się rezolutnie twarzą do nieznajomego mieszkańca wyspy i ruszyłem szybko ku niemu.

Ukrył się tymczasem poza jednym z pni drzewnych, ale widocznie śledził mnie bacznie, gdyż skoro tylko zacząłem iść w jego stronę, ukazał się znowu i posunął o parę kroków naprzeciw mnie. Potem zawahał się, cofnął, postąpił naprzód i wreszcie, ku mojemu wielkiemu pomieszaniu i zdumieniu, rzucił się przedemną na kolana, wyciągając błagalnie obie dłonie.

Na ten widok stanąłem powtórnie.

— Kto jesteś? — zapytałem.

— Ben Guun — odpowiedział, a głos mu brzmiał ochryple i nieprzyjemnie, jak zgrzyt zardzewiałego zamku. — Jestem biedny Ben Guun, i oto trzeci rok już mija, odkąd nie mówiłem z żadną duszą chrześcijańską.

Zobaczyłem teraz, że jest on białym człowiekiem, jak ja i że rysy jego były nawet dość miłe. Skórę na ciele miał opaloną od słońca, nawet wargi mu poczerniały, i tem dziwniej odbijały od tej ogorzałej twarzy jego jasno-niebieskie oczy. Takich łachmanów, jak na nim, nie widziałem nigdy na najnędzniejszym z żebraków. Odziany był w strzępy żaglowego płótna i starego ubrania marynarskiego.

Niezwykła ta łatanina trzymała się za pomocą rozlicznych i najdziwaczniejszych przytwierdzeń: mosiężnych guzików, drewnianych szpilek i pętlic z kawałków nasyconego smołą sznurka. Jedyną rzeczą całkowitą w tym stroju był szeroki, skórzany pas z dużą mosiężną klamrą.

— Trzy lata! — zawołałem. — Czy rozbiłeś się na okręcie?

— Nie, przyjacielu — odparł — ja jestem nieszczęśliwy maron.

Słyszałem to słowo i wiedziałem, że oznacza ono straszną karę, dość pospolitą między korsarzami: winnego wysadzają na brzeg i zaopatrzywszy go w niewielką ilość kul i prochu, pozostawiają na jakiej samotnej, odległej wyspie.

— Jestem maronem i żyję tu już trzy lata — mówił dalej — karmiąc się mięsem dzikich kóz, jagodami i ostrygami. Gdziekolwiek człowiek się dostanie, zawsze potrafi sobie poradzić. Ale dusza moja tęskni za chrześcijańskiem pożywieniem. Czy nie masz przypadkiem kawałka sera? Nie?... Szkoda! Nieraz w nocy śni mi się ser — dużo sera i chleba z masłem, przeważnie. Budzę się i widzę, niestety! że to tylko sen.

— Jeżeli kiedykolwiek uda mi się dostać znowu na okręt — odparłem — dam ci sera, ile sam zapragniesz.

Przez cały ten czas dotykał się on sukna mej kurtki, gładził moje ręce, przyglądał moim butom i wogóle okazywał niemal dziecinną radość stąd, że znajduje się wobec bliźniej sobie istoty. Ale przy mych ostatnich słowach drgnął i patrząc nieufnie:

— Jeżeli uda ci się dostać na okręt, mówisz — powtórzył. — A któż ci przeszkadza?

— Nie ty, wiem o tem — brzmiała moja odpowiedź.

— I masz słuszność — zawołał. — Ale powiedz mi teraz, jak się nazywasz, przyjacielu?

— Jim — rzekłem.

— Jim, Jim! — powtarzał, widocznie bardzo ucieszony. — Słuchaj, Jim, żyłem wprawdzie, jak ostatni pies, aż mi wstyd mówić o tem. Nie uwierzyłbyś, na przykład, że wychowała mnie najlepsza i najpobożniejsza z matek.

— Nie, dla czegożby nie? — odpowiedziałem.

— Ach, to dobrze — uradował się — wiedz zatem, że miałem niezwykle pobożną matkę. I sam byłem przykładnym, pobożnym chłopcem i umiałem mój katechizm na pięciu palcach. I oto na co mi zeszło, Jim, a zaczęło się od dziecinnej gry w dołki na grobach, na cmentarzu! Oto, od czego się zaczęło, ale poszło dalej. Moja biedna matka upominała mnie i przepowiadała mi smutną przyszłość, poczciwa kobieta! Ale sama opatrzność zawiodła mnie tutaj. Zawsze to sobie myślałem na tej samotnej wyspie i stałem się znowu pobożny, jak dawniej. Nie tknę już rumu, nie! nie złapiesz mnie na tem — chyba kieliszeczek, przy okazyi, aby wypić czyje zdrowie. Przysięgam, że będę prowadził przykładne, uczciwe życie. Słuchaj, Jim, — dodał, oglądając się w około i zniżając głos do cichego szeptu — jestem bogaty.

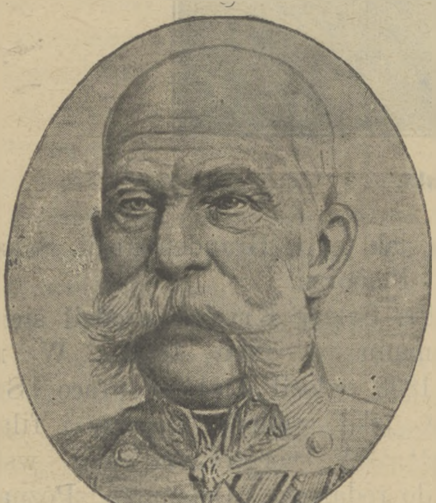
(Ciąg dalszy nastąpi.)



Z bieżącej chwili.

Choroba cesarza austryackiego.

W każdem konstytucyjnem państwie osoba monarchy jest potężnym czynnikiem prawodawczym, ale nigdzie tak potężnym, jak w dwójjedynej monarchii austro-węgierskiej. Podpis cesarza daje sankcyę ustawodawstwu i w Austryi i w Węgrzech i w Austro-Węgrzech, cesarz i przedewszystkiem cesarz, łagodzi i godzi



Cesarz austryacki Franciszek Józef,

sprzeczności, rozstrzyga zatargi i czuwa nad tem, by pożar, jaki sporadycznie powstaje, nie ogarnął wspólnego gmachu.

Wysokie osobiste zalety i cnoty cesarza Franciszka Józefa, w połączeniu z rolą rozjemcy, bezstronnego sędziego i opiekuna, spełnianą przez lat niemal sześćdziesiąt, otoczyły osobę jego aureolą zgoła niezwykłą i dały mu wyjątkowe między monarchami stanowisko. Przytem cesarz w ciągu długiego panowania ani razu poważnie nie chorował, funkcye monarsze ani na dzień jeden nie były przerwane, tak że mimo sędziwego wieku monarchy nikt ewentualności takiej przerwy w rachubę nie wciągał.

Stąd pochodzi, że od dwóch tygodni trwająca choroba cesarza — obok smutku, który ma swoje źródła w wielkiej sympatyi i miłości — wywołuje też zgoła niezwykłe przygnębienie polityczne i że niemal z dnia na dzień i z godziny na godzinę powstają wątpliwości i obawy o najbliższe jutro.

Cesarz jeszcze z manewrów w Karyntyi powrócił lekko przeziębiony. Był to zwykły katar, do którego nie przywiązywano większej wagi, lecz sędziwy wiek cesarza nie pozwalał go zbytnio lekceważyć. Cesarz jednakże nie dał się przestrogami lekarzy odwieść od przyjęcia odwiedzin króla rumuńskiego i wielkiego księcia Włodzimierza. Skutkiem tego stan cesarza cokolwiek się pogorszył, tem bardziej, że cesarz, odprowadzając wielkiego księcia Włodzimierza w odkrytym powozie, znów się przeziębił. Zdaje się, że także natężająca kampania polityczna wpłynęła na zdrowie cesarza. Z tego zaziębienia powstało zapalenie oskrzeli, ból gardła i kaszel, niebezpieczeństwa jednakże żadnego nie było i niema, to też lekarze zaniechali wydawania regularnych biuletynów o przebiegu choroby. Jakkolwiek obecny stan dostojnego pacyenta nie budzi poważniejszych obaw, jednak choroba potrwa kilka tygodni i w czasie tym cesarzowi nie będzie wolno wychodzić z pokoju.

Cesarz od czasu do czasu wypija szklankę wina szampańskiego, co wpływa korzystnie na jego usposobienie. Stan sił i czynność serca jest normalną.

Korespondent „Magyar Hirlap" ogłasza rozmowę z lekarzem przybocznym dr. Kerzlem. Na zapytanie, czy choroba cesarza jest niebezpieczną, odpowiedział dr. Kerzl: „Na to nie mogę i nie wolno mi odpowiedzieć. W każdym razie przy chorobie, jak ta, na którą zapadł cesarz, potrzebną jest jak największa ostrożność. Nasz pacyent liczy 77 lat, a w tym wieku każda choroba jest niebezpieczną. Ja i moi koledzy mamy nadzieję, że silna konstytucya monarchy przełamie chorobę. Więcej powiedzieć nie mogę.

Nadmieniamy jeszcze, iż wśród lekarzy domowych sędziwego monarchy jest także rodak nasz dr. Neusser, cieszący się wielkiemi względami pacyenta.

* * *

† Ks. poseł Fryderyk Dasbach.

Znany i zasłużony poseł centrowy do parlamentu niemieckiego i sejmu pruskiego, przyjaciel Polaków, ks. Dasbach, urodzony 9-go grudnia 1846 roku, zmarł dnia 11-go b. m. w Trewirze.

Nieboszczyk był dzielnym szermierzem na arenie parlamentarnej, któ-



† Ks. Fryderyk Dasbach.

remu stronnictwo centrowe wiele ma do zawdzięczenia. Niestrudzony ten pracownik i publicysta był nie tylko wielkim obrońcą Kościoła, lecz także zdziałał wiele dobrego w sprawach

społecznych, mianowicie dla klas włościańskich, gdyż główna zasługa Dasbacha znajdowała się na polu gospodarczem — jako prezesa Trewirskiego związku chłopskiego, Trewirskiego związku spółek, rolniczego związku zakupu, związku właścicieli winnic, i związku zabezpieczenia bydła.

Jako wytrawny polityk powołał do życia w krótkim czasie cały poczet książek, broszur i pism, w których śmiało i otwarcie wypowiadał swe zasady. Zacny ten kapłan słuchał św. teologii w Trewirze i w Rzymie. W Trewirze po wyświęceniu pełnił obowiązki kapłańskie; tamże w 1875-tym roku miał zatarg z rządem, który mu zakazał pełnienia wszelkikch czynności kapłańskich, oraz udzielania nauki religii św. Rząd cofnął później ten zakaz, mimo to działalność jego w ojczystej dyecezyi ograniczyła się na posadę kapelana pomocniczego w Trewirze. I do końca swego życia ten tytuł tylko nosił „Herr Kaplan Dasbach.“

Nieboszczyk posiadał zrozumienie dla naszej sprawy i nieraz dobitny swych przekonań i uczuć dawał wyraz.

* * *

Proces p. Józefa Kościelskiego i towarzyszy

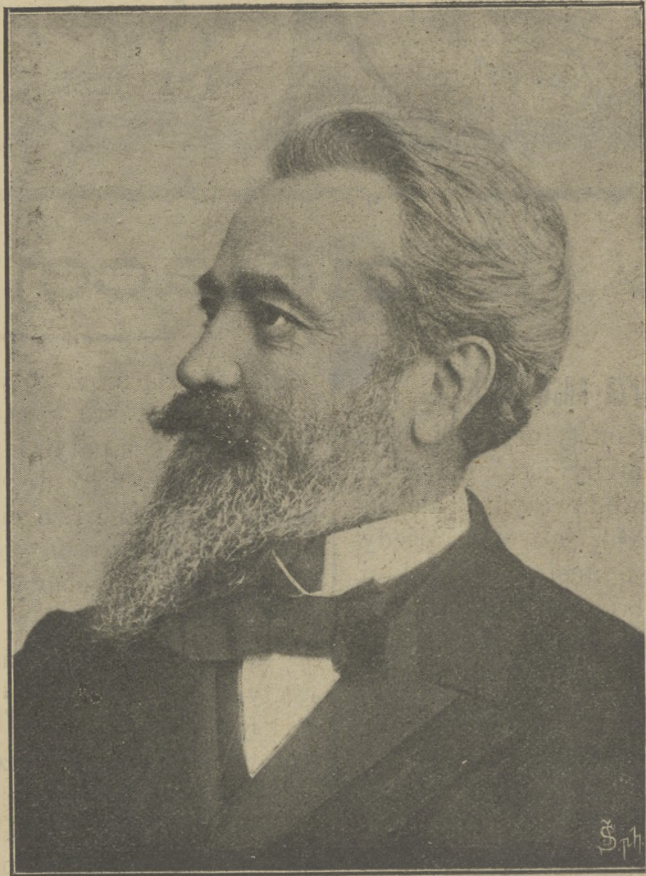
o znany Zlot „Sokołów,“ który się odbył dnia 22-go października 1905 r. w parku p. Kościelskiego na Bugaju, toczył się ponownie, skutkiem zniesienia pierwszego wyroku gnieźnieńskiego przez kamergerycht i przekazania sprawy do ponownego osądzenia izbie karnej sądu ziemiańskiego w Poznaniu, przed tąż izbą karną dnia 19-go b. m.

Ciekawem i interesującem było zeznanie p. Kościelskiego, który oświadczył co następuje:

Z powodu własnej inicyatywy oświadczyłem gotowość przyjęcia członków „Sokoła“ w moim parku. W wszystkich kulturalnych krajach uprawia się sztukę gimnastyczną i oburzyło mnie, że nam czyni się tak wielkie trudności. Nie myślałem wykraczać przeciwko prawu, zapraszając młodzież do mego parku i przyjmując ją jako mych gości. Jesień była tak piękna, iż bolało mnie, że młodzieńcy, prawie wszyscy z miast pochodzący, a z roku na rok przebywający w warsztatach i mieszkający w sklepach, dla egoizmu władzy policyjnej pozbawieni być mieli zdrowych ćwiczeń na wolności. Zaprosiłem ich wtedy do mego parku i kazałem w tym celu wydrukować 200 zaproszeń. Moi leśnicy stanęli przy bramach parku i wolno im było wpuszczać te tylko osoby, które posiadały karty. Jeśli pomimo to wśród uczestników znajdowali się tacy, którzy nie posiadali zaproszenia, to weszli bez mojej wiedzy. Zarzut, jakoby leśnicy moi uzbrojeni byli w broń palną, jest o tyle nieusprawiedliwiony, iż zawsze gdy przyjmuję dużo gości w pałacu, każę leśnikom występować w uniformach galowych, do których należą także haubice. Są już zresztą zupełnie stare fuzye, które *po bitwie pod Miłosławiem w 1848-mym roku porzucili w ucieczce Prusacy, a które skrzętnie przechowano.* Kierownikiem zlotu nie byłem wcale i dziwi mnie, jak można kulawego, starego człowieka nazwać kierownikiem ćwiczeń gimnastycznych... Nie mogłem być przewodnikiem (Leiter), co najwyżej tylko zwodzicielem (Verleiter) do jedzenia i picia. Cały zlot uważałem jako *„garden party.“*

Sąd uznał Zlot wzmiankowany za zebranie publiczne w myśl § 9 ustawy o stowarzyszeniach i skazał pp. Józefa Kościelskiego na 20 mrk., mecenasa Chrzanowskiego z Poznania na 25 mrk., kupca Karola Rzepeckiego z Poznania na 25 mrk., księgarza Rowińskiego z Ostrowa na 30 mrk., trzech oskarżonych po 20 mrk., trzech po 5 mrk. kary pieniężnej i na znaczne koszta, a dwóch uwolnił od kary.

Tak się ostatecznie zakończyła owa groźna dla „hakatystów“ sprawa Zlotu w Miłosławiu.



Józef Kościelski.

* * *

Franciszek Salezy Krysiak

należy bez zaprzeczenia do najruchliwszych działaczy współczesnych między naszymi wychodźcami tak w Berlinie jak też w Brandenburgii, Saksonii i Pomorzu.

Fr. Salezy Krysiak urodził się w Poznaniu w roku 1865. W roku 1888 ogłosił drukiem pracę „Staszyc jako polityk, uczony i filantrop“. W tym samym roku wstąpił do redakcyi „Dziennika Poznańskiego“ jako stały współpracownik. Równocześnie zaprosił go śp. Adam Asnyk na stałego korespondenta „Nowej Reformy.“

Pod okiem ś. p. Fr. Dobrowolskiego kształcił się nie tylko na publicystę, ale także na działacza i pracował w licznych Towarzystwach i komitetach.

W roku 1898 ogłosił w „Pracy“ ściśle opracowany projekt utworzenia Towarzystwa, mającego przeciwdziałać Tow. H. K. T.

Znany patryota ks. prob. Gryglewicz z Ślesina w liście do „Pracy“ projekt gorąco pochwalił i w razie przyjścia do skutku ofiarował od siebie 200 mrk. rocznej składki na proponowane utworzenie biura.

Z „Pracą“ łączy go także przygoda, która go bez mała kosztowała więzienie. Gdy w roku 1900 czy 1901 były drukarz „Pracy“ Krzyżankiewicz

zadenuncyował u prokuratoryi pp. Biedermanna i Rakowskiego jako autorów pewnych artykułów, wystąpił Krysiak w „Dzien. Pozn.“ w ostrym



Franciszek Salezy Krysiak.

artykule p. t. „Denuncyacya.“ Krzyżankiewicz zaskarżył odp. redaktora „Dzien. Pozn.“ p. Chojnackiego o obrazę. Wtedy Krysiak, chcąc często już karanego odp. redaktora uratować od dalszej kary, napisał do prokuratoryi, że nie Chojnacki tylko on jest autorem owego artykulu i że napisał go tylko z zasadniczych powodów w obronie redaktorów pism, ewentualnie zagrożonych przez niedyskrecyą lub niegodziwość drukarzy.

Skutek u sądu pruskiego był ten, że rozszerzono proces i przeciw Krysiakowi, który w pierwszej instancyi wraz z Chojnackim zasądzony został na 3 miesiące więzienia i 4000 mrk. odszkodowania dla denuncyanta. Dopiero druga instancya złagodziła ten wyrok na 75 mrk. kary.

W końcu roku 1901 wydał Kr. w osobnej broszurze opis procesu wrzesińskiego. A gdy w r. 1902 kanclerz rzeszy Bülow dla uzasadnienia nowego 250 milionow. projektu antypolskiego przytoczył rojące się od kłamstw statystycznych raporty naczelnego prezesa Bittera i Gosslera, ogłosił po *niemiecku* broszurę: „Offener Brief eines Polen an die irregeleitete öffentliche Meinung in Deutschland.“ O broszurze tej napisała „Kreuzztg.“, że gdyby daty, przytoczone przez autora, były prędzej znane, stronnictwo konserwatywne byłoby się bliżej przyjrzało oświadczeniom rządu.

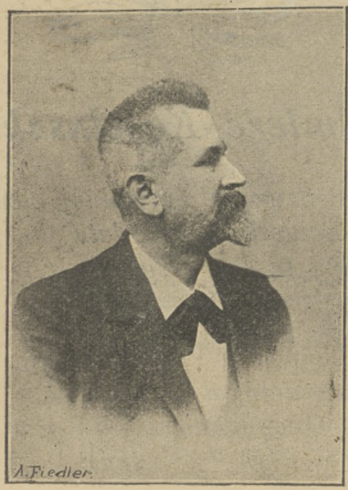
Od września 1902 kieruje K. „Dziennikiem Berlińskim“ i jest po prostu przeładowany obowiązkami i pracami obywatelskiemi. Chcąc nie chcąc musi przyjmować urzędy, które gdzieindziej możnaby podzielić między innych, że tylko wymienimy piastowany przez niego urząd prezesa Komitetu Politycznego na Berlin, Brandenburgią i wychodźtwo po prawym brzegu Łaby, prezesa „Straży“ na Berlin, Brandenburgią, Saksonią i Pomorze, prezesa Towarzystwa „Oświata,“ prezesa Komitetu Kolonii feryjnych, członka komisyi rewizyjnej i rady nadzorczej „Skarbony“ itd.

* * *

Pan Michał Więckowski,

dyrektor Banku Przemysłowców w Poznaniu, wybrany został ostatecznie dyrektorem Banku Związku Spółek Zarobkowych, które to stanowisko obejmie z dniem 1-go stycznia r. p.

Wiadomość powyższą przyjmie pewnie społeczeństwo nasze z prawdziwem zadowoleniem, bo pan Więckowski znany jest w szerokich kołach



Michał Więckowski.

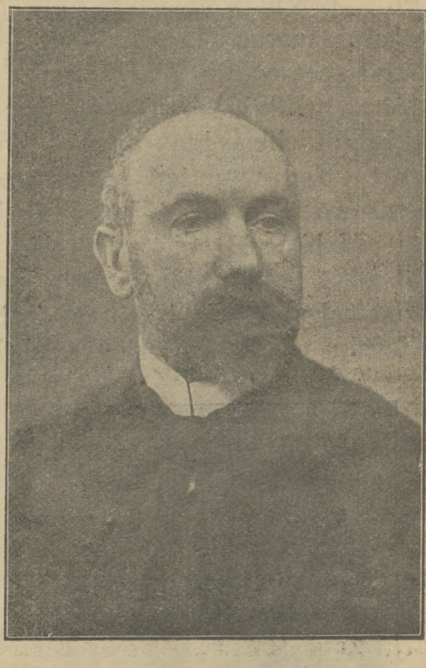
jako znakomity finansista. Życzymy mu, aby na nowem stanowisku praca jego obfite przynosiła plony.

* * *

Prof. dr. Nehring ustąpił.

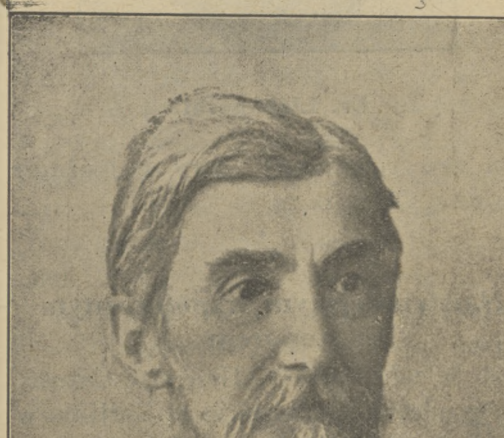
Pisma śląskie donoszą, że doktor Władysław Nehring, profesor słowiańskiej filologii na uniwersytecie wrocławskim otrzymał w tych dniach na własne żądanie zwolnienie od dotychczasowych obowiązków. Powodem jest sędziwy wiek znakomitego uczonego polskiego, gdyż kończy on w tych dniach 77 rok życia. Przy sposobności tej minister oświaty wyraził prof. Nehringowi najgorętsze uznanie za jego wielkie zasługi, jakie około nauki przez długoletnią swą pracę położył. Profesor Nehring urodził się dnia 23-go października 1830-go r. w Klecku pod Gnieznem. Nauki uniwersyteckie ukończył we Wrocławiu; był następnie nauczycielem gimnazyalnym w Trzemesznie, a później w Poznaniu. W r. 1868-ym powołano go na uniwersytet wrocławski, gdzie bez przerwy aż dotąd pracował. W r. 1893/94 był rektorem tegoż uniwersytetu. Został też mianowany tajnym rądcą. Poza tem prof. Wł. Nehring jest członkiem krakowskiej Akademii Umiejętności, członkiem korespondującym petersburskiej Akademii Umiejętności, jak również honorowym członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Napisał też wiele dzieł uczonych w polskim i niemieckim języku.

* * *



Cezary Jellenta.
utalentowany literat i prelegent z Warszawy miał świeżo w Poznaniu bardzo zajmujące odczyty o Cypryanie Norwidzie.
(Patrz Feljeton.)

* * *



Professor Dr. Władysław Nehring.

Proces Liebknechta.

Przed sądem rzeszy toczył się świeżo proces przeciwko adwokatowi drowi Liebknechtowi z Berlina o zdradę stanu, której dopatrzono się w broszurze wydanej przez oskarżonego, a mającej szerzyć ruch antymilitarystyczny wśród młodzieży. Po przesłuchaniu oskarżonego, który nie poczuwał się do winy, oraz posła Bebla, którego zeznania raczej obciążyły aniżeli uniewinniły Liebknechta, wniósł nadprokurator o 2 lata domu karnego i 5 lat utraty praw honorowych oraz o zniszczenie broszury i natychmiastowe aresztowanie oskarżonego.

Po przemówieniach obrońcy, adwokata Haasego i oskarżonego, sąd odroczył sprawę do dnia 12-go b. m., w którym to dniu ogłoszono wyrok, skazujący Liebknechta na $1^1/_2$ roku fortecy. Sąd wypuścił oskarżonego tymczasowo na wolność, którą się jednakże Liebknecht cieszył tylko dni kilka, gdyż prokurator rzeszy nadesłał mu nakaz stawienia się do fortecy w Kłodzku na Śląsku, celem odsiedzenia zawyrokowanej kary najpóźniej do dnia 24-go b. m.



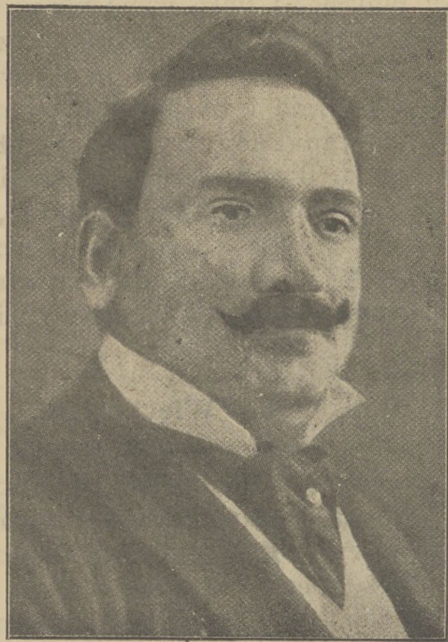
Dr. Liebknecht.

* * *

Najsłynniejszym współczesnym tenorem

jest Włoch, Enrico (Henryk) Caruso, który obecnie występuje w Berlinie w król. operze. Słynny ten śpiewak, mechanik z zawodu, otrzymuje za każdy występ 10,000 marek gaży. Caruso zawdzięcza swą świetną karyerę organiście przy kościele św. Anny w Neapolu, który poznawszy głos jego, radził mu porzucić warsztat i zostać śpiewakiem.

Caruso jest żonatym, ojcem kilkorga dzieci i chyba nie potrzebujemy dodawać, że najsłynniejszy ten współczesny śpiewak „z Bożej łaski" żyje jak udzielny książę.



Enrico (Henryk) Caruso.

Śmierć Kościusski.

Tam w Szwajcarów wolnej ziemi
Żył Kościuszko długie lata
I obracał tęskne oczy,
Gzie rodzinna jego chata.

Z Maciejowic w ranach wzięty,
Ciężką przetrwał on niewolę,
Nim — wygnaniec — poszedł we świat,
Na tułactwo, na niedolę!

Aż gdy poczuł ,że śmierć blizko,
Ujął w ręce miecz swój dumny
I rzekł: Walczył w świętej sprawie,
Włóżcież ze mną go do trumny!

I na północ spojrzał rzewnie,
Twarz mu blaskiem się zajęła,
I konając wyrzekł z mocą:
— Jeszcze ...... nie zginęła!

Jan Sawa.

Kochał Polskę „nie połową ale całą duszą".

(W 90-tą rocznicę zgonu T. Kościuszki)

Znacie z reprodukcyi obraz Jana Styki *„Polonia,"* który zajmuje od lat kilkunastu za fotelem prezydyalnym honorową ścianę sali radzieckiej na Ratuszu lwowskim. Na tem ogromnem płótnie, przedstawiającem całe dzieje porozbiorowe naszej biednej Ojczyzny, jest miejsce chmurne, gdzie jak nad trupem krążą wrony kraczące.

Był taki moment w historyi Polski.

W mrokach okropnej nocy upadku Rzeczypospolitej, po jej ziemiach, pełnych niegdyś chwały, rozlało się robactwo Targowicy — i tak czuć było w powietrzu trupa, że już nad nami krakały złowróżbnie wrony.

Taka wonczas bezradność straszna ogarnęła całe społeczeństwo, że nawet ci, którzy odczuwali ogrom hańby narodowej, opuścili ręce w słabości przerażającej, bo stracili wiarę w siebie, w ojczyznę, w przyszłość. Wśród powszechnej apatyi gdzieniegdzie tylko zakrzyknął ktoś boleśnie, gdzieniegdzie protestował rozpaczliwie, ale dusza narodu skarlała i echo protestu przeciwko gwałtom nie poszło po kraju.

Czarne mroki ponurej nocy w tej najtragiczniejszej godzinie naszego narodu, rozdarł świetlanym snopem promieni świtu rok 1794-ty, rok Racławic.

Dobrze się ktoś wyraził, że tej aureoli, która opromieniła tragedyę Polski, temu bohaterstwu, które ocaliło przed hańbą nasz klejnot rodowy, tej rehabilitacyi w oczach świata całego, temu posągowi męstwa i poświęcenia, który ozdobił mogiłę Ojczyzny, na imię jest: *Tadeusz Kościuszko.*

Gdy zbudziły się serca i zawołały — on przyszedł, gdy powiedziały: prowadź — on je prowadził, zarzewie wojny świętej w pożar ogromny rozdmuchał i w błyskach kos racławickich ukazał raz jeszcze zdumionemu światu wielkie serce Polski szczęśliwej.

Ten z woli narodu naczelnik, który po swem zwycięstwie na mundur generalski przywdział sukmanę chłopską, dał nam przykład, jak ojczyznę kochać „nie połową — ale całą duszą," a zarazem dał nam program polityczny, jaki w dziejach porozbiorowych miał się stać najsilniejszą opoką w walce z wynaradawianiem.

Wskazała Konstytucya Trzeciego Maja drogi przyszłości, ale dopiero Kościuszko był martwego słowa żywem wcieleniem, był natchnionym prorokiem, który wziął w siebie ducha konstytucyi i stanął przed ludem, jak słup ognisty.

Konstytucya polska była wielką ewangelią; bohater racławicki był wielkim czynem.

I za to złożyliśmy jego popioły w grobach królewskich na Wawelu właśnie w tem miejscu, gdzie chciał spocząć Stanisław August; i za to jemu usypaliśmy pod Krakowem mogiłę pa-

miątkową, jakiej nie ma ani Sobieski, ani Kordecki; i za to z wszystkich bohaterów narodowych w Polsce najwięcej umiłowanym jest przez wszystkich i po wieki będzie Tadeusz Kościuszko!

* * *

Ostatnie lata Naczelnika.

Po morderczej bitwie narodów pod Lipskiem, weszli do Paryża trzej tryumfujący monarchowie. Jeden z nich, najpotężniejszy, cesarz Aleksander I przypomniał sobie, że tutaj mieszka Tadeusz Kościuszko, i rozkazał oficerom polskim, aby złożyli winne naczelnikowi uszanowanie. Wtedy generał Kościuszko napisał do cesarza list, w którym prosił, „abyś, Najjaśniejszy Panie, udzielił amnestyę ogólną dla Polaków bez wszelkich zastrzeżeń, a włościanie, rozproszeni w krajach obcych, aby uważani byli za wolnych, gdy wrócą pod strzechy swoje.“ Druga prośba brzmiała: „Abyś W. C. Mość ogłosił się królem Polski z konstytucyą wolną, zbliżoną do angielskiej — i abyś kazał utworzyć szkoły na koszt rządu do nauczania włościan; aby niewola ich była zniesioną w ciągu lat dziewięciu i aby używali oni swojego mienia z prawem zupełnej własności.“ W liście tym bohater racławicki powiada dalej: „Jeżeli prośby moje będą wysłuchane, przyjdę osobiście, lubo chory, paść do nóg W. C. M. dla podziękowania Mu i złożenia hołdu — pierwszy — jako mojemu monarsze.“

Odpowiedzi cesarskiej na swój list z 9 kwietnia 1814 r. oczekiwał sędziwy generał nieopodal na wsi, w Berville, gdzie zajmował się uprawą ogródka, tokarstwem i wyrabianiem drewnianych chodaków, a utrzymywał się w ciągu ostatnich lat kilkunastu życia z wypłacanego mu przez wdzięczną Amerykę żołdu, z Polski bowiem nic na stare lata nie dostawał — jej wódz naczelny.

Gdy odpowiedź na list nie nadchodziła, Kościuszko, zniecierpliwiony sam przyjechał do Paryża, stanął w hotelu i poprosił o posłuchanie. Aleksander I — jak na podstawie samych dokumentów stwierdzonych opowiada historyk Korzon — posłał po Kościuszkę pojazd dworski, przyjął go z otwartemi ramionami, uściskał, ucałował wobec bardzo wielu osób, a potem na osobności zapewnił o najlepszych swoich chęciach dla Polski. Po posłuchaniu kazał cesarz składać wizyty Kościuszce w hotelu. Pierwszy zaraz przyjechał do niego W. Książę Konstanty. Nazajutrz na wieczorze u księżnej Jabłonowskiej sam cesarz i wielki książę wziąwszy siwego generała pod ramiona, prowadzili przed tłum gości, wołając: „miejsca, miejsca — oto wielki człowiek“.

Nie zadowoliły jednak Kościuszki te honory dla jego osoby, szło mu o ukochaną Polskę, więc dopraszał się odpowiedzi na piśmie. Dał mu ją wreszcie cesarz, a historyczny ten list Aleksandra I do generała Kościuszki nosił, pono nie przypadkiem, datę rocznicy 3-go maja (Paryż 1814).



Tadeusz Kościuszko.
Z portretu malowanego podług miniatury R. R. Reinagla w 1817 r.
Ze zbiorów Muzeum narodowego w Rapperswylu.



Tekla z Ratomskich Kościuszkowa, matka Kościuszki.

„Doznaję wielkiego zadowolenia, generale, odpowiadając na Twój list — pisał monarcha rosyjski. — Najdroższe Twoje życzenia będą spełnione. Przy pomocy Wszechmocnego spodziewam się dokonać odrodzenia walecznego i szanownego narodu, do którego należysz.

Wziąłem na siebie zobowiązanie uroczyste, a zawsze pomyślność jego zajmowała myśli moje. Okoliczności tylko polityczne kładły tamę wykonaniu zamiarów moich. Te przeszkody już nie istnieją. Uprzątnęła je dwuletnia walka straszna, lecz chlubna. Jeszcze trochę czasu i rozsądnego postępowania, a Polacy odzyskają ojczyznę swoją, imię swoje, ja zaś będę miał przyjemność przekonać ich, że ten, którego mieli za swego nieprzyjaciela, zapominając przeszłości, ziści ich pragnienia. Ileż dogodnem mi będzie, generale, widząc Cię pomocnikiem moim w tych zbawiennych pracach. Imię Twoje, charakter i talenty będą najlepszemi memi podporami. Przyjm, generale, zapewnienie mego całego szacunku“.

Przekupiony temi zapewnieniami, powrócił Kościuszko na wieś i czekał spokojnie na kongres Wiedeński. Wiadomo, że cesarz Aleksander wystąpił z planem utworzenia Królestwa Polskiego w granicach szczuplejszych niż dawne Księstwo Warszawskie. Jego minister spraw zagranicznych, książę Adam Czartoryski zawiadomił o tem Kościuszkę, powołując go do Wiednia, a wkrótce sam cesarz (w kwietn. 1815 r.) pisał do generała, wzywając go do

swej głównej kwatery. To też wyjechał naczelnik z Berville w tę podróż, z paszportem na przybrane nazwisko „Polski“, a w towarzystwie swego adjutanta Zeltnera. Przybył do głównej kwatery rosyjskiej w Braunau i 27-go maja miał rozmowę na osobności z Aleksandrem. Sprawiła ona na Kościuszce wrażenie już niezadowalniające, lecz spełniając polecenie cesarskie, pojechał generał zaraz do Wiednia na konferencyę z ministrem Czartoryskim. Odbyła się rozmowa ta ważna 31 maja, ale była tak przykra, że aż niekorzystnie odbiła się na zdrowiu Kościuszki, który natychmiast od księcia wyszedłszy, list napisał do cesarza. Miesiąc czekał na odpowiedź; nadeszła wreszcie pod adresem Czartoryskiego, a naoczni zapewniają, że Kościuszko, treść jej poznawszy, zmienił się nagle na twarzy i w całem postępowaniu.

Opuścił Wiedeń tegoż dnia jeszcze, udając się do Solury, znękany wiadomością o podpisanych traktatach między Rosyą, Prusami i Austryą co do utworzonego na kongresie Królestwa Polskiego, a właściwie nowego podziału Polski. W liście do cesarza Aleksandra wynurzał obawy co do swej rodzinnej Litwy. A do Czartoryskiego pisał w kilka dni później w rozgoryczeniu, że życie swoje poświęcał całemu narodowi, ale nie tej małej cząstce, którą uznano Królestwem Polskiem. Cieszył się wprawdzie „wskrzeszeniem imienia polskiego“, jednakże dodawał zaraz: „ale imię samo nie stanowi narodu“. Dowodził dalej, że tylko przywrócenie całości kraju mogło wytworzyć „równoważność i przyjaźń stateczną z Rosyanami“, a przy liberalnej konstytucyi — jego zdaniem — byliby Polacy „szczęśliwymi“ być pod berłem tak wielkiego monarchy pospołu z Rosyanami“. Historyk Korzon przytaczając zawarte w tym liście do Czartoryskiego argumenty, przyznaje Kościuszce trafną przenikliwość, trafniejszą niż miał książę Adam. Warunki zdrowego życia narodu widział stary wódz jasno, i w obronie ich był nieugięty. Wśród rozgwaru interesów, załatwianych na kongresie Wiedeńskim, on podnosił zasadę unii Jagiellońskich i mniemał, jak niegdyś Żółkiewski, że na tej zasadzie może urzeczywistnić się połączenie Polski z Rosyą ku zobopólnemu szczęściu dwu narodów.

Z Wiednia drogą przez Tyrol udał się tedy Kościuszko ze ściśniętem sercem do Szwajcaryi i zwiedziwszy najpiękniejsze okolice tej wolnej ziemi, osiadł w Solurze (Solothurn) na ostatnie dwa lata przedśmiertne. Było to bowiem w październiku r. 1815, gdy Kościuszko na jednym tylko pokoju poprzestając, w domu dawnego wójta kantonu, a przyjaciela swego Zeltnera, u którego, sam rodziny nie mając, znalazł w starości najtroskliwszą opiekę, chociaż niewiele zresztą wymagał skromny inwalida-weteran.

Dwa lata zbiegły mu na dobroczynności i uczeniu ulubienicy, a chrzestnej córki swej, 12-letniej Emilii Zeltnerównej. Odbierał w tym czasie często liczne odwiedziny, lecz przeważnie nie Polaków. Ziomków własnych brakło w Solurze przy naczelniku. Nie żalił się, lecz odczuwał to boleśnie, a mimowolnym wyrzutem stały się łzy, które mu do oczu nabiegły w słynnej z pięknego widoku pustelni St. Verena na szczycie jednej z gór Jurajskich, gdy Francuz Jullien zadeklamował elegię Arnaulta „Feuille dessechee“.

Przetłomaczamy tutaj ten wierszyk, który do łez wzruszył Kościuszkę:

Pytasz listka co z dębu zerwany,
Pytasz listka, kędy jego dusza?
Czy go niedola ma spotkać złowroga,
Że tak wiatrami wciąż gnany,
Zżółkły i suchy, dziś z lasów w równiny
Pędzi bez żadnej podpory, pomocy,
Jutro go z góry strąci na doliny
Lodowy wicher z północy...
Idzie on z wiatrem bez skargi, obawy,
Idzie, gdzie wszystko ma koniec podróży,
Gdzie liść wawrzynu, co godłem jest sławy.
Gdzie idzie każdy liść róży...

A już nikogo z Polaków nie było przy naczelniku, gdy 1-go października 1817 roku epidemiczna gorączka nerwowa powaliła 72-letniego starca na łoże śmiertelne. Gospodarz i jego rodzina wraz z innymi przyjaciółmi szwajcarskimi czynili przez dwa tygodnie wszystko, by go ocalić jeszcze, lecz lekarz odrazu koniec przewidział. Chory kazał spisać testament, którym obdarzał z wdzięczności Zeltnerów — i ze spokojem oczekiwał zgonu.



Tadeusz Kościuszko
rysowany z natury w Solurze na 2 miesiące przed zgonem.

Przytomnie umierał bohater, mimo wzrastającej gorączki. Mówił ciągle o Polsce, do ostatniej godziny z miłością. Pałasz swój kazał włożyć do trumny, a kiedy mu głosu zabrakło, spojrzał ze słodkim uśmiechem na stojącą u nóg łóżka familię, podał jedną rękę Zeltnerowi, drugą jego żonie i uścisnąwszy je, opadł na poduszki. Skonał zwycięzca z pod Racławic o godzinie 10-tej wieczorem dnia 15-go października r. 1817.

Od onej zaś godziny żałobnej upłynęło w tych dniach właśnie dziewięćdziesiąt lat długich, ciężkich dla narodu, który wydał Tadeusza Kościuszkę.

Kochaj twą ziemię.

Kochaj twą ziemię rodzinną
Nad wszystkie skarby
Szarą jej skibę równiną,
I wzgórków garby;
Kochaj kobierce pól złote
I gwarne lasy,
I cały wdzięk i prostotę
Jej dziwnej krasy;
I melancholię wieczystą,
Co nad nią drzemie...
Kochaj twą ziemię ojczystą
Nad wszystkie ziemie.

Kochaj jej mieścin i sioła
Cichy zakątek;
Szczodrze rozsiane dokoła
Perły pamiątek;
Jej wczoraj świetne, a górne,
U chwały szczytu;
Jej dzisiaj smutne, a chmurne
W przeddzień rozświtu;
Jej ból, niedolę, tęsknotę,
Krwi i łez brzemię...
Kochaj tę ziemię — Golgotę
Nad wszystkie ziemie.

A kiedy olśnią ci oczy
Innych ziem czary;
I mniej się wyda uroczy
Twój kącik szary;
Gdy opłakując w cichości
Los twej zagrody,
Obcym twój duch pozazdrości
Wiecznej pogody:
Niech będzie tem więcej droga
Ta twoja niwa,
Im bardziej smutna, uboga
I — nieszczęśliwa!...

Artur Gliszczyński.

Do bieguna południowego.

Trzecią z rzędu, po Belgii i Francyi, wyprawę do bieguna południowego podejmuje w tych dniach porucznik marynarki angielskiej E. H. Shackleton. Por. Shackleton uczestniczył w sławnej podróży okrętu „Discovery,“ który wyruszywszy w roku 1901 z końcem grudnia z Nowej Zelandyi, dotarł najdalej na południe.

Wyprawę swą przedsiębierze por. Shackleton na starym, dziesięćkroć łatanym okręcie, któremu dano tylko nazwę inną „Endurance.“ Okręt ten, jakkolwiek w porównaniu z olbrzymami morskiemi XX. wieku, uchodzić może za małą łódkę, wypróbowanej wytrzymałości w wielokrotnych połowach na wieloryby i śledzie, przebywał niejednokrotnie drogę wśród mórz lodowatych.

Sztab wyprawy stanowią: por. Shackleton, dowódca okrętu kapitan England i inżynier Dunlop. Ekspedycya z Nowej Zelandyi wyruszy w pierwszym tygodniu w 1908 r. na wody południowe, w tym bowiem czasie panuje na południowej półkuli najgorętsze lato. Por. Shackleton sądzi, że do bieguna południowego dostać się daleko łatwiej, niż do bieguna północnego, ze względu na to, że biegun południowy posiada daleko większe i bardziej skupione płaszczyzny, aniżeli górzysty i porozrywany wodami biegun północny.

Jako podstawę operacyjną obrał Shackleton wschodni cypel „kraju króla Edwarda VII“; punkt ten o tyle jest korzystny, że stąd będzie można prowadzić ewentualne odkrycia dalszych, nieznanych jeszcze ziem na południu.

Wyprawa Shackletona składa się ogółem z 28 ludzi. Prawdopodobnie z końcem stycznia dotrze Shackleton do „kraju króla Edwarda VII“. „Endurance“, po wylądowaniu oddziału, wrócić ma napowrót do Nowej Zelandyi; Shackleton zaś z ludźmi swymi i wozem motorowym wyruszy dalej na południe.

Naturalnie samochód nie będzie służył do przewozu osób, lecz do transportu towarów, zapasów żywności, narzędzi i t. p. Materyał, z którego samochód zbudowano, przystosowany jest do warunków klimatycznych okolic podbiegunowych, konstrukcya zaś jego, a głównie koła zastosowane tak, żeby mógł się poruszać tak na lodach jako też po masach miękkiego śniegu.

Samochód wieźć też będzie większą ilość saneczek, ciągnionych przez konie. Będzie to pierwsza wyprawa, podczas której użyte będą konie. Są to konie pochodzące z Mandżuryi, a więc przyzwyczajone do temperatury niskiej.

Nadto wiezie Shackleton ze sobą rzecz tak nieodzowną, jak szałas specyalnie skonstruowany; szałas ten ma podwójne ściany, które wypełnione zostaną na miejscu wełną i w nim spędzać będzie wyprawa długie, zimowe noce. Wzięto i łódź składaną do przewożenia bagaży przez otwarte wody i specyalnie opakowane środki żywności, konserwy i t. d. doskonale zabezpieczone przed zepsuciem.

Miejsce wylądowania znajduje się prawie w 77°30 południowej szerokości i oddalone jest od bieguna o 1,400 kilometrów. Podczas budowy szałasu i stajen, ma się część wyprawy zająć założeniem stacyi prowiantowych; w ten sposób sądzi Shackleton, że posunie się o jakie 300 kilometrów napołudnie od „kraju króla Edwarda VII.“

Podczas zimy, kiedy wszelka dalsza wyprawa jest niemożliwa, odbywać się będą badania naukowe terenu i własności geograficznych, do czego zabrano wszelkie potrzebne aparaty. Z nastaniem wiosny będzie Shackleton starał się magazyny prowiantowe posunąć jeszcze o jakie 180 kilometrów ku południowi, tak, by od ostatniej składowni żywności pozostawało do bieguna najwyżej 900 kilometrów. W podróż do samego bieguna wyruszy tylko troje ludzi z Shackletonem i ci zabiorą ze sobą wóz motorowy, sześć koni i tyleż psów.

Oprócz wyprawy podjętej przez por. Shackletona, udają się do bieguna południowego jeszcze dwie wyprawy również z „kraju króla Edwarda VII“, z których jedna obiera kierunek na „kraj Grahama“, druga drogę południowo-wschodnią.

Wyprawa Shackletona obliczona jest przeszło na rok. Z końcem stycznia 1909 „Endurance“, po odbyciu studyów magnetycznych wzdłuż drogi między Nową Zelandyą a Australią i przez ocean Indyjski, zawita znów do brzegów „kraju króla Edwarda VII“, by Shackletona i jego towarzyszy przewieźć napowrót do kraju.

Powrót nastąpi naokoło Przylądka Dobrej Nadziei.

Co ptaszki myślą.

Gdzie ta wiosna? gdzie ta wiosna?
Taka śliczna i radosna?
Gdzie to lato? ciepłe lato
Z zieloności jasną szatą?

Przyszły deszcze, przyszły chłody
Dni jesiennej niepogody,
Słonko w chmurach się schowało,
Wszystko wokół posmutniało.

Już na łąkach niema kwiatków,
Krasnych maków i bławatków,
Już nie szumi w polu zboże;
Nad ptaszkami czuwaj Boże!

Zimna jesień wiatrem miecie,
Chłodno, głodno nam na świecie,
Mało ziarnek, niema muszek,
Ani chleba choć okruszek.

Dobre dzieci! Pamiętajcie!
Ginąć ptaszkom nie dawajcie,
Zdziebło bułki, kąsek chleba,
Nic nam więcej nie potrzeba.

A gdy znowu wróci wiosna,
W dal popłynie pieśń radosna,
Będziem pieśnią prosić Boga
O twe szczęście, dziatwo droga.

Prawdziwe Maroko.

Doskonały znawca Afryki, Hugon le Roux, w tygodniku „Annales politiques et litteraires'' opisuje Maroko — ludzi i kraj.

„Nie zapominajmy — pisze — że w Afryce północnej, Arab jest cudzoziemcem, niedawnym przybyszem i



Kobieta z rasy Berberów.

najeźdzcą. Nie zastał przecież kraju pustego. Więc Maroko jest terenem walki dwu ras, które się nie zlały i które zachowują wciąż wobec siebie postawę wrogą.

Oprócz Kartagińczyków, Rzymianie zastali w Afryce północnej plemię, któremu nadali nazwę *Barbari* — są to dzisiejsi Berberzy, potomkowie dzielnych Numidów, którzy cwałowali oklep pod Jugurtą.

Widząc, że najazd ich kraju nie skończył się na Rzymianach, że za Greko-Byzantyjczykami szli Wandalowie, za Wandalami Arabowie, za Arabami Turcy, za Turkami — Francuzi, tubylcy poradzili sobie tak, jak zwykli sobie poczynać mieszkańcy kraju w części płaskiego, w części zaś górzystego. A mianowicie opuścili równiny i schronili się w górach.

Przebywają w nich po dziś dzień.

W Algieryi, na wyżynach, okalających Fort-National, i okolicach Bougie, spuszczających się stromo ku morzu, noszą oni nazwę Kabylów; w górach, zwanych *Ksur*, w południowym Oranie, które wznoszą się nad płaskowzgórzem, staczającem się stopniowo ku pustyni Sahara, zowią się oni Berberami. W samem Maroku, od granicy morza Śródziemnego aż do pagórków, biegnących wzdłuż kolei, gnieżdżą się na wszystkkich wyżynach.

Śmiało powiedzieć można, iż w Maroko cała płaszczyzna zamieszkała jest przez Arabów, a kraj wzgórzysty przez Berberów.

Te dwie różnice środowiska i rasy, scharakteryzowane są dwoma nazwami potocznemi. Równina zowie się „krajem Magzen,'' a góry „krajem Siwa.'' Źródłosłów tych określeń zawiera całe wyjaśnienie „sprawy marokańskiej'' w jej obecnych komplikacyach.

Słowo „Magzen'' określa zarazem „rząd'' i sposoby, jakiemi rząd może nakazać poszanowanie dla swych praw.

Miano Magzen, nosi nawpół urzędnik, nawpół rabuś, występujący raz jako żołnierz regularny, w szeregu, to jako żandarm, a zawsze jako wyzyskiwacz.

Gdy Arab, a więc koczownik, którego całe bogactwo zawarte bywa przeważnie w trzodach, nie zapłaci w czas podatku religijnego, będącego jedynym łącznikiem pomiędzy nim a rządem, zjeżdżają Magzenowie — kilkunastu, kilku niekiedy drabów konno:

— Nie chcesz płacić? — wołają — jesteś nieprawym muzułmaninem. Z rozkazu sułtana zabieramy ci wszystko. Bo my jesteśmy urzędnicy, a nasze pensye zalegają. Musimy to sobie powetować.

Nieszczęsny właściciel baranów wie, że wszelki opór byłby daremny. Więc płaci w porę, aby nie doczekać się Magzena — żandarma. Słowem, gdyby całe Maroko było krajem równinnym, pokrytym pastwiskami, sułtan marokański nie miałby żadnych kłopotów i byłby najszczęśliwszym władcą na świecie.

Lecz, niestety, przeważna część kraju jest górzysta. Ta połać zowie się „krainą Siwy'' — czyli wolności.

Są ludzie ,którzy wystawiają sobie wolność pod postacią kamiennej mamki, której pokarm uderzył do głowy.

Inni widzą ją w kształcie słowa, wypisanego dużemi literami na merostwach i szkołach publicznych.

Dla Marokańczyka — Berbera, wolność jest równoznaczna z możnością niepłacenia podatków. Taka interpretacya nie pozbawiona jest uroku.

Berberowie mieszkają nie pod namiotami, lecz w domach, osady i wsie rozstasowują się na gór szczytach. Gdzie tylko jest punkt strategiczny niezdobyty, tam Berber — Marokańczyk tworzy wieś, będącą zarazem fortecą. Strome góry są prawie niedostępne dla wojsk europejskich. Francuzi, którzy w warunkach podobnych, dwukrotnie zdobywali kabylską wioskę Scheriden, w pobliżu Fort-National, wiedzą, ze swego doświadczenia, ilu trupami okupili to zwycięstwo.

Mieszkańcy wsi berberskich, uważają Magzenów za swoich wrogów, ale Magzenowie są ostrożni — cenią życie i nie zaglądają do gniazd orlich.

Tyle co do stosunków wewnętrznych. Życie narodowe skupia się w głębi kraju. Od kilku wieków porty zostały oddane na pastwę cudzoziemców. Wielkie miasta portowe są brzydkie, nie mają ani wspaniałych meczetów, ani wilkich bazarów — ulice brudne, banalne. Słowem dla turysty nie są ciekawe.

Rabat i Sale — dwa miasta wznoszą się u ujścia Bu-Regrog, po obu brzegach, w najżyżniejszej okolicy, w której hodowla bydła dochodzi do wielkiego rozwoju. Kraj jest też bardzo żyzny, obfitujący w zboża i lasy: cedry i tuje sprzedają się w Rabat po cenie naszych sosen. W Sule wyrabiają pantofle i dywany o pięknych barwach i deseniach, które rozchodzą się po Algieryi, Egipcie, a nawet poszukiwane są w Senegalu.



Grób Świętych w Fezie.

Port Rabat — Sale mógłby stać się bardzo ważnym punktem handlowym, gdyby był urządzony odpowiednio i

gdyby natura uczyniła go dostępniejszym.

Natomiast Casablanca, osłoniona od wiatrów zachodnich, jest portem ożywionym, przez który wywożone są przeważnie produkty rolne.

Mazagan — porcik malutki, jeden z dawnych szańców portugalskiej twierdzy, ma 150 metrów długości na 40 met. szerokości.

Dalej port Saffi, niedostępny przez dziesięć miesięcy na rok, a który przy odpowiedniem urządzeniu mógłby wywozić bogate plony Marakeszu, kraju Dukhalów i Abdów.



Urząd pocztowy w Fezie.

Wreszcie Magador i wysunięty bardziej na południe — Agadir, port stracony dla handlu, gdyż z niepojętego rozporządzenia sułtana, jest zupełnie zamknięty.

Ciasny konserwatyzm, wschodnie lenistwo, brak energii i przedsiębiorczości, z tych okien na świat, któreby można otworzyć szeroko dla cywilizacyi i krajowego dobrobytu, czyni niegościnne, śpiące przystanie.

I kiedyż wreszcie Islam ocknie się ze swego fanatyzmu, ze swej martwoty — kończy le Raux.

Pisząc o Maroko zamieszczamy jednocześnie dwie ryciny z Fezu, jednej z rezydencyi sułtana marokańskiego, mianowicie: grób świętych i urząd pocztowy.

Złote listki.

Półgłówki zwykle najwyżej głowy podnoszą.

Eliza Orzeszkowa.

* * *

Póty naród wolny,
Dopóki cnotą, a nie złotem świeci.

Julian z Poradowa.

Sprawy ekonomiczne.

Dlaczego w rzemiośle brak uczniów?

Na pytanie to odpowiadają zwykle nie bez słuszności, że głównie dlatego brak uczniów, iż chłopak w zawodach fabrycznych znajdzie prędzej zarobek, więc rodzina oddaje go do fabryki.

Nie bez pewnej racyi jest twierdzenie, że brak uczniów powoduje także okoliczność, iż w obecnym czasie okrzyczane jest rzemiosło jako nie dające zarobku. Jest niestety prawdą, że rzemieślnicy sami szkodzą własnemu interesowi, bo skarżą się głośno nietylko w lokalach publicznych przy piwie na lichy zarobek, ale w pracowniach wymyślają na swoje położenie i w cechach i na zjazdach głoszą, iż rzemiosło upada. Pewnie, że to przyczynia się do odstraszenia rodziców od zamiaru oddania syna w naukę. Co prawda, stan rzemiosła nie jest świetny, skargi na upadek są uzasadnione, jeżeli się zważy, ile to rzemiosł upadło zupełnie w ostatnich latach, jednakowoż człowiek pilny, rzetelny, zdolny, wykształcony, znajdzie w rzemiośle kawałek chleba i prędzej dojdzie do majątku aniżeli np. urzędnik lub robotnik.

Dlatego należałoby, aby powołani przedstawiciele i obrońcy rzemieślników, czy to na zebraniach, czy w gazetach, wyświetlali rzecz należycie. Chcąc cel ten osięgnąć, byłoby dobrze ogłaszać życiorysy rzemieślników, którzy dorobili się znaczenia i poważania, oraz zwracać uwagę na to, że ten lub ów rzemieślnik, zaczynając od małego stał się człowiekiem zamożnym.

Zwłaszcza nauczyciele powinni zwracać uwagę tym chłopcom w szkole, którzy pewną zręczność okazują, jakie są dobre strony rzemiosła.

„P"

Dział kobiecy.

Sztuczne karmienie niemowląt.

Przy najlepszej woli niezawsze matka może karmić swoje niemowlę własną piersią. Wtedy uciec się trzeba do karmienia sztucznego — z flaszeczki. Na pokarm sztuczny najodpowiedniejsze jest mleko krowie lub od kóz. Nie należy jednak podawać dziecięciu mleka krowiego w takim stanie, w jakim je od krowy otrzymujemy. Trzeba je rozcieńczyć wodą lub co lepiej rzadkim kleikiem z owsa lub jęczmienia.

Rozcieńczenie mleka krowiego zastosowane być winno do wieku niemowlęcia. W pierwszym tygodniu życia daje się dziecku co dwie godziny pokarm sztuczny, złożony z jednej małej łyżeczki mleka a z trzech dużych łyżek kleiku lub wody. W drugim i trzecim tygodniu dwie łyżki mleka na cztery kleiku. Od czwartego do szóstego tygodnia co trzy godziny trzy łyżki mleka na trzy łyżki kleiku. W siódmym i ósmym tygodniu pięć łyżek mleka na trzy kleiku. Od dziewiątego do dwunastego tygodnia sześć łyżek mleka na dwie łyżki kleiku. Od dwunastego tygodnia czyli od piątego aż do ósmego miesiąca dostaje dziecko dziewięć łyżek mleka na dwie łyżki kleiku. Po ósmym miesiącu dopiero można dawać mleko czyste bez domieszki kleiku lub wody.

Mleko i kleik stosownie przyrządzone przechowywać trzeba osobno, a dopiero mieszać razem w odpowiedniej ilości przed każdorazowem karmieniem. Mleko najlepiej przegotować zaraz po wydojeniu. Naczynie do przegotowania powinno mieć mały otwór u góry, aby się na mleku nie tworzył kożuch, bo przez to mleko ubożeje w tłuszcz.

Kleik przyrządza się osobno. W czystem naczyniu miesza się z gorącą wodą łyżkę mąki jęczmiennej lub owsianej i gotuje się przez kwadrans, dolewając gorącej wody tak, aby po gotowaniu powstało pół litra kleiku. W końcu dodaje się trzy łyżki cukru lodowatego i odstawia w chłodne miejsce.

Do każdego karmienia miesza się przegotowany kleik z przegotowanem mlekiem, wlewając odpowiednią ilość mleka i kleiku do flaszeczki. Flaszeczkę wstawia się do gorącej wody, aby pokarm miał taką ciepłotę jak ciało ludzkie, a więc 37 stopni Celzyusza.

Flaszeczki z długim gumowym wężem są nieodpowiednie. Najlepiej używać flaszek małych (manierek) bez węża a tylko z korkiem gumowym w kształcie ludzkiego palca. Przy zakupie takiego korka gumowego uważać na to, aby we wodzie pływał, gdy zaś opada na dno, to znak, że jest zaprawiony ołowiem.

Po każdem karmieniu trzeba tak korek jak flaszeczkę dobrze wyczyścić. Flaszeczkę stawiać zawsze dnem do góry, aby odciekła do ostatniej kropli.

Do mycia korka gumowego używa się wody solonej i przegotowanej. Na litr wody dać łyżeczkę soli. Czystość to najważniejszy warunek przy sztucznem karmieniu niemowląt.

* * *

„Jedynak“ i jego hygiena.

Jak wiadomo, wychowanie t. zw. jedynaka sprawia często szczególniejsze trudności rodzicom i wychowawcom. Ta okoliczność, że te dzieci wzrastają same, że brak im otoczenia rodzeństwa, że troska i miłość rodzicielska spadają wyłącznie tylko na nie same, nie oddziaływa właśnie w ogólności korzystnie na wykształcenie się ich charakteru, albowiem jak z jednej strony stają się po wielkiej części samolubami czyli egoistami, tak z drugiej strony bywają po największej części przez rodziców rozpieszczone i znarowione i nie przyzwyczajone do samodzielności. Wskutek zbytniego troszczenia się rodziców o dzieci, rozwija się jedynak za prędko, za wcześnie dojrzewa, a ta wczesna dojrzałość jest przyczyną tego, iż u tych dzieci układ nerwowy ulega bardzo często zboczeniom. Tego rodzaju dzieci cierpią często na hypochondryę, ponieważ marudzenie ich i bojaźliwość rodziców sprawia, iż dziecko poświęca więcej uwagi czynnościom swego ciała, niżby tego była potrzeba. Spaczone wychowanie działa sprzyjająco na obecną nieco dyspozycyę do zaburzeń duchowych, ponieważ także ze względu na pielęgnacyę ciała swoich „jedynaków“ czynią często rodzice za dużo, jak n. p. jedni zahartowują dziecko w niedorzeczny sposób, inni znowu rozpieszczają je w sposób przesadny. Pomimo opieki, jaką rodzice jedynaka otaczają, czuje się on często osamotniony, ponieważ brak mu właśnie jego naturalnych towarzyszów zabaw, jego rodzeństwa. Rozrywka zabawkami, których spotrzebuje zwykle ogromną liczbę, może dawać tylko małe zadowolenie. Samotność oddziaływa zgubnie na ciało i umysł dziecka, czynność wyobraźni się wzmaga, często ulega zwyrodnieniu i grozi niebezpieczeństwami, które wypływają z bujnej wyobraźni (fantazyi), jeżeli tej zostawi się za wiele miejsca do zbaczania. Temi są zaburzenia umysłu i osłabienie woli. Rozkiełzana fantazya ruguje inne czynności i dziecko może przez to łatwo odsunąć się od rzeczywistości swego otoczenia. Dla tego dziecko tego rodzaju, o bujnej wyobraźni, poszukuje w coraz większej mierze samotności, szpera w rzeczach, nie odpowiadających jego wiekowi, a to szperanie jest oznaką nadzwyczajnego nadwerężenia mózgu. Z tej przyczyny dzieci tego rodzaju powinny być jak najmniej pozostawiane same sobie, a rodzice powinni się bardzo starać o dobrane, w równym wieku towarzystwo dla dziecka. Najlepiej przyjąć do siebie na wychowanie dziecko (równego wieku) z innej rodziny lub może sierotę przybrać za własne — lub też oddać swego jedynaka na wychowanie do innej rodziny z dziećmi. W obcowaniu i przy zabawie ze swymi rówieśnikami dziecko najlepiej się wychowuje.

Żywe lampki.

(Pogadanka naukowa).

Przywykliśmy uważać przyrodę, *naturę*, jako coś powszedniego, zwykłego, stąd wyraz *naturalny*, to jest prosty, zrozumiały, nie budzący podziwu. Tymczasem przyroda kryje w swem łonie wiele takich zjawisk, które zastanawiają, a nieraz nawet w zdumienie wprawiają człowieka, kiedy się z niemi spotka niespodzianie. Gdybyśmy umieli lepiej patrzyć i widzieć, przekonalibyśmy się, że dziwów w przyrodzie jest znacznie więcej, niż sądzimy, że nas, bez przesady, otaczają wszędy. Oto jeden z tych dziwów. Ogień, światło mają zawsze dla człowieka powab: niemowlę wyciąga rączki do płomyka świecy; jadącego koleją bawią iskry wyrzucane nocą z komina lokomotywy; przyrodnik — zastanawia się nad *żywemi lampkami*.

„Pewnego wieczora zapuszczono sieci w morze o tak późnej godzinie i na taką głębię, że niepodobna było myśleć o wyciągnięciu ich przed świtem; stąd też każdy z nas udał się do swego łóżka z zamiarem wypoczęcia, dopóki nie dadzą znać, że sieci są już pod wierzchem. Było to około godziny trzeciej. Głębokie ciemności okrywały świat; wyszliśmy na pokład zawczasu, ciekawi ujrzeć sieci pojawiające się na powierzchni wody i kiedy te nareszcie były blizko, spostrzegliśmy w nich liczne punkciki świetlane. Początkowo zjawisko to nie zdziwiło nas zbytnio, gdyż nieraz już morze dostarczało nam podobnego widowiska, kiedy ster okrętu poruszony nocą zmącił taflę wodną. Lecz jakież było nasze zdumienie, kiedy z sieci wytrząśnięto ogromne mnóstwo krzaczkowatych *gorgonid*, które rzucały tak jasny blask, że światło dwudziestu latarni okrętowych, które przyświecały robocie, wydało się mdłem, jakoby przygasło z chwilą ukazania się na pokładzie tych polipów. Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, zanieśliśmy pojedyńcze okazy polipów do naszej pracowni, gdzie światła nie było i tu roztoczył się znów przed nami widok tak czarowny, jaki trudno sobie wystawić. Na wszystkich odnogach i końcach gałązek krzaczka polipowego zabłysły istne snopy ognia, które na chwilę przygasały, ażeby natychmiast znów zajaśnieć i przebiedz całą skalę barwnych odcieni: od fioletowego do purpurowego, czerwonego, pomarańczowego, niebieskiego wszelkich odmian, od zielonego do oślepiającego blasku rozpalonego na biało żelaza. Odcień zielony przeważał nad innemi, pozostałe zaś barwy zjawiały się błyskawicznie szybko i również szybko



Żeńskie Towarzystwo gimnastyczne „Sokół“ w Hamburgu.

znikały. Jeżeli mam z czem porównać to zachwycające zjawisko, to jedynie z najświetniejszym fajerwerkiem, tylko nie w takim rodzaju; lecz i to słabe zaledwie dać może o rzeczywistości pojęcie. Jednem słowem zjawisko równego sobie nie posiada.

Lecz wkrótce, niestety, zostaliśmy pozbawieni tego zachwycającego widoku! Życie zwierzątek gasło powoli, a z niem gra kolorów i światło. Po kwadransie znikła reszta blasku i ze świetnych gorgonid została niepozorna, ciemna, wątła krzaczkowata postać. Zbadanie jej przekonało nas tylko o tem, że rogowy lub wapienny rdzeń krzaczka jest dość słaby, a poszczególne zwierzątka polipy tkwią w cienkiej, okrywającej rdzeń powłocce. A jednak licha ta kolonia zwierzątek mogła pod względem blasku iść w zawody z ogniem, ze światłem elektrycznem, niemal ze słońcem samem. Ażeby dać pojęcie o sile tego światła, powiem, że w najdalszym kącie pracowni naszej, na sześć przeszło metrów długiej, mogliśmy przy niem czytać najdrobniejszy druk, jak w biały dzień.''

To co przytacza tutaj zasłużony badacz de Felin, nie jest wypadkiem oderwanym, fenomenem, gdyż gorgonidy i inne polipy i meduzy świecące można często obserwować w morzach, chociażby np. w morzu Śródziemnem. Ośrodkiem wydającym światło w ciele polipów są „sznury świetlne,'' obejmujące jamę ciała i wchodzące w ramiona.

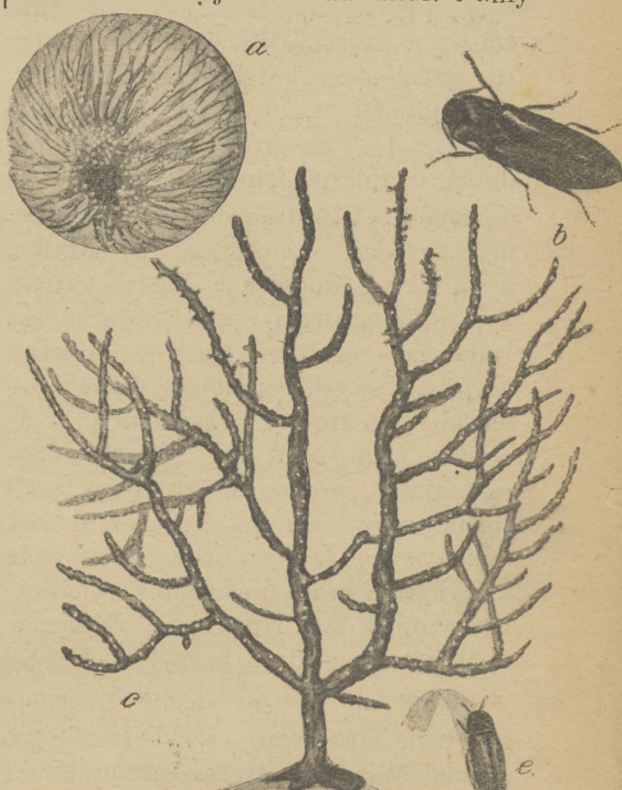
Tu każdemu niechybnie przyjdzie na myśl zjawisko zwane *fosforescencyą*, czyli świeceniem morza. Odgrywają w niem główną rolę nietyle gorgonidy i inne większych rozmiarów zwierzątka, które raczej rozsiane są jak iskierki po wodnej szybie, ile drobniuchne, a liczne pierwotniaki (Noctiluca). Wyobraźmy sobie naprzykład wybrzeże cieśniny Pas-de Calais pod Boulogne. Fale morskie zdaleka wydają się jednostajnie mleczno białemi, można je przyrównać do piany, która powstaje przy uderzaniu fal o brzeg. O zmierzchu, w warunkach sprzyjających, z odległości 60 lub 70 metrów nic więcej widzieć się nie da. Lecz w miarę zbliżania się do morza widok w oczach naszych się zmienia. Kiedy staniemy blizko brzegu, wtedy grzbiety fal ukazują się nam jako blade niebieskawe płomyki, a w miejscach załamywania żywiej i bielej połyskują. Widziane wreszcie z nad samego brzegu robią wrażenie stopionego ołowiu lub srebra, usianego niezliczonem mnóstwem drobniuchnych, białych lub zielonawych iskierek. Płaski, piaszczysty brzeg małej zatoki, opłukiwany ciągle przez fale, błyszczy równomiernym białym odcieniem, pośród którego występują miryady żywo iskrzących się zielonawych i niebieskawych gwiazdeczek. Woda, pozostająca w zagłębieniach mokrego piasku nad brzegiem, tworzy plamy bardzo jasne. Przeciągamy szybko długim kijem po wodzie i wnet cały ślad kija lśni jako srebro a woda z niego kapiąca równa się z kroplą stopionego srebra, krople pozostawiają na ubraniu naszem jaśniejące plamki i blaski ich utrzymuje się czas jakiś. Zanurzamy w morzu ręce i wyciągamy je błyszczące na całej swej powierzchni, po kilku zaś sekundach światło na nich zbiera się w jaśniejące punkciki, które trwają dość długo. Kiedy morze w czasie odpływu cofa się, to brzeg wilgotny pozostaje zupełnie ciemny, lecz przy najmniejszem zaniepokojeniu piasku znów jaśnieje, a ślady stóp przechodnia stają się literalnie ognistemi.

Zabarwienie tego światła jest piękne bladoniebieskie. Ażeby światło wywołać wystarcza najmniejsze wstrząśnienie; kiedy naczynie z taką wodą w ciemnym pokoju zostanie poruszone, wtedy powstają w niej jaśniejące linie. Przy pomocy szkieł powiększających wykrywamy, że blask wody pochodzi od mnóstwa pływających w niej maleńkich, okrągławych zwierzątek, z których jedne błyszczą wszystkiem ciałem, inne zaś posiadają na sobie kropki świetlne. Zowią się w zoologii *Noctiluca*, należą do typu *pierwotniaków*, każde z nich przedstawia jedną komórkę. Przy wybrzeżach, w zatokach, okrywają powierzchnię mórz w niesłychanej ilości i na najmniejsze podrażnienie odpowiadają światłem.

A teraz z nad morza powróćmy w nasze gaje i ogrody. Któż z nas nie przechadzał się w ciche letnie wieczory wśród zarośli i nie podziwiał tych drobnych pięknych światełek, migocących w gąszczu po cienistych ścieżkach i parowach. Przynajmniej słyszał każdy o „robaczkach świętojańskich'' czyli *świetlikach*. Kiedy noc rozpościera nad ziemią ciemności, wtedy świetliki porzucają swe kryjówki pod mchem, w norkach, rozbiegają się i rozlatują po lasach i zaroślach, wzdłuż dróg i polanek, i rozpalają swe ogniki. Nazwa „robaczka świętojańskiego'' może być usprawiedliwiona względem bezskrzydłych poczwarek i samiczek, podobnych bardzo do robaka, samczyk zaś, jest typowym owadem — żuczkiem, o parze skrzydełek, przykrytych parą twardych brunatnych pokryw. Świecenie jest im wrodzone, od pierwszych chwil życia już się objawia, jaśnieją już jajka z zarodkami, świecą następnie poczwarki, samice i samce. Iskierki, latające po lesie w powietrzu, to samczyki; ogniki, migocące na mchu i gałązkach krzaczków, to samiczki; tych ostatnich bywa mniej, lecz światełko ich jest silniejsze. Pełzają one powoli i od czasu do czasu unoszą w górę koniec brzuszka, z którego ostatnich trzech pierścieni, z pod spodu, dobywają się zielonawe promyki; w ten sposób dają znać o sobie latającym swym towarzyszom.

Wśród bujnego świata krajów gorących, gdzie wszelkiego rodzaju dziwy przyrody obficiej i okazalej występują, świetliki są też większe i świetniejsze. Prześlicznie świeci amerykański świetlik „kukujo'' (Pyrophorus). Kiedy zmierzch zapadnie nad zaroślami Antylów lub Gwijany, wtedy wędrowcowi zdarza się być świadkiem iście czarodziejskiej iluminacyi; nawet oko, obojętne na cuda natury, zachwyca się wobec tych licznych lampeczek, rozsianych po gałązkach i listkach krzaków i drzew lub krążących w ciemnej przestrzeni.

Nic też dziwnego, że kobiety amerykańskie sporządzają sobie z tych żuczków naszyjniki i zausznice. Damy



Żywe lampki.

a) Pyrocystis noctiluca (100 razy powiększona). *b*) Kukujo (Pyrophorus). — *c*) Kolonia koralowa (Gorgonia) *e*) Świetliki (Lampyris), samczyk *f*) samiczka, — *g*) larwa świetlika.

tamtejsze zamykają je w woreczku tiulowym i opinają gustownie na sukniach lub też w oprawie z kolibrów i dyamentów na szpilkach wpinają we włosy. Taka oryginalna ozdoba uczesania czarownie błyszczy i w zupełności harmonizuje ze szczególniejszą, właściwą smagłym Hiszpankom i Kreolkom, urodą. Po kilkugodzinnem uwięzieniu we włosach lub na sukni owadki wyczerpują się i gasną, a wtedy właścicielka wstrząsa je i tem pobudza sztucznie do ponownego świecenia. Po powrocie z wieczoru dama troskliwie zajmuje się delikatnem stworzonkiem; cuci je w szklaneczce z wodą i zamyka na noc do maleńkiej klateczki, dając na pożywienie kawałek trzciny cukrowej do ssania. Nawet damy europejskie próbowały użyć ku ozdobie swej tualety świetlików naszych, lecz te o wiele ustępują pod względem światła kukujom.

Zamknięty w klateczce kukujo służy krajowcowi za lampkę nocną, światłem zaś 4 lub 5 sztuk, zawieszonych szeregiem na nitce, można jak latarnią posługiwać się w ciemną noc na otwartem powietrzu. Podczas wojny na wyspie Haiti każdy oficer prowadzący oddział nocą, przytwierdzał sobie do głowy kukujo, ażeby wskazywać drogę żołnierzom. Tkaczyki indyjskie, ptaki, podobne do naszego wróbla, według świadectwa niektórych, przylepiają tamtejsze świecące żuczki u wejścia do swych kunsztownie plecionych butelkowatych, wiszących gniazd, ażeby odstraszyć nieprzyjaciół — szczury, płazy i tym podobne drapieżne istoty.

Rybacy wkładają do sieci na przynętę świecące zwierzątko w słoiczku, a ma to być środek tak dalece skuteczny, że aż prawem został zabroniony. Indyanie światłem żuczków odstraszają od swych namiotów dokuczliwe moskity, wędrowcy przywiązują je do obuwia, ufni, że w ten sposób zabezpieczają się w drodze od wężów, podróżnicy przy świetle żywych lampek dokonywują zdjęć fotograficznych, marynarz zwraca uwagę na świecenie pierwotniaków Noctiluca, widząc w niem przepowiednię burzy.

Skąd się bierze światło w ciele zwierząt, stanowczo powiedzieć nie można. Wiadomo tylko, przynajmniej względem żuków świecących, że świeci tkanka tłuszczowa, kiedy zachodzą w niej przemiany fizyologiczne, a może też istnieje jakaś stała substancya, która wydziela światło, gdyż nawet po śmierci zwierzątka zazwyczaj blask nie ustaje.

Przypuszczają uczeni, że niegdyś zjawiska świetlne musiały być bardziej rozpowszechnione, niż obecnie, i że zdolność ta stopniowo coraz bardziej zanika, jako szkodliwa raczej niż pożyteczna dla zwierząt. Wszelako wiedzieć należy, że na wymienionych powyżej zwierzątkach szereg żywych lampek nie kończy się jeszcze: istnieje pewna liczba innych, choć mniej wydatnych istot — pierwotniaków, jamochłonnych mięczaków i osłonic, morskich krocionogów, owadów, nawet ryb, a poniekąd i ptaków (czaple), które także przyczyniają się do naturalnej iluminacyi.

R. Wierzejski.

Wskazówki i rady.

Wpływ owoców na trawienie

zawsze jeszcze przez ogół jest niedoceniany; dla wielu pozostaje dotychczas rzeczą niestety nieznaną, że kwasy owocowe skutecznie przeciwdziałają chorobliwym osadom rozmaitych soli w organizmie naszym. Niejeden podagryk mógłby sobie zaoszczędzić ciężkich cierpień, gdyby lepiej wykorzystał porę owocową a dorośli również nie powinni pominąć sposobności obfitego spożywania w lecie i jesieni owoców drzew i krzewów. Dlatego jestto zjawiskiem niepocieszającem, że produkcya wina owocowego (ale bezalkoholicznego!) w tak żywym obecnie znajduje się rozkwicie, jakkolwiek wino, przyrządzone z soku owocowego, nie może być uważane za produkt, któryby pod każdym względem posiadał zalety i pełną watość świeżych owoców. Silny przydatek cukru jest często powodem, że działanie alkoholu w winie zyskuje przewagę i dlatego zawsze jest lepiej owoce same — ile możności w surowym stanie — spożywać, przez co zbawienne działanie na organizm jest o wiele lepsze i energiczniejsze.

„Uśpione“ członki

są następstwem silnego lub długotrwałego ucisku jakiegoś znaczniejszego nerwu odnośnej części ciała — szczególnie rąk i nóg — i stanowią bardzo niepożądaną okoliczność. Członek taki wyczuwa się jakby ciało martwe, przebiegają po skórze i pod skórą „mrówki i tysiące szpilek“. Najszybciej zaradza się tej nieprzyjemności silne natarcie uśpionego członka. Jeżeli stan ten powtarza się często, to może zachodzi tu cierpienie nerwowe. W takim razie nie powinno się zaniedbać zawczasu przywołać lekarza.

Rozmaitości.

Święty nie może przyjmować ministrów francuskich.

W tych dniach miasto nadmorskie St. Nazaire obchodzi uroczystość otwarcia nowego wejścia do portu. Ceremonia wielka, gdyż przybędą ministrowie i będzie pan Briand, minister oświaty i sztuk pięknych. Według tradycyi minister przy tej sposobności zwiedza szpitale i przytułki. Pan Briand nieomieszka uczynić tego samego. Niestety fundatorzy w przytułku St. Nazaire mieli „nieszczęsny“ pomysł umieszczenia nad główną bramą statuy św. Wincentego a Paulo! Niemożliwe, aby święty przyjmował ministrów separacyi gościnnym ruchem! „Dość już nieprzyjemności dla pana Briand'a, a upokorzenia dla nas, że port ten nosi nazwę klerykalną — imię świętego St. Nazaire!“ pomyślała rada miejska i postanowiła zmienić statuę w sposób iście genialny.

Panowie ci powiedzieli sobie, że statua jest zawsze statuą, a ponieważ głowa jest klerykalna, należy więc ją zmienić na świecką. Zdjęto zatem głowę św. Wincentego a Paulo, a na jej miejsce przylepiono głowę Republiki w czapeczce fryzyjskiej. Efekt kapitalny.

Republika jest odziana w płaszcz zakonny, ale to jeszcze mniejsza. Gorszą jest inna pozostałość statuy św. Wincentego, tj. dwoje dzieci, które teraz Republika trzyma w ręku. Rajcowie miasta nie łamią jednak wcale sobie głowy, aby wytłumaczyć, co to ma oznaczać.

Pan Briand byłby ostatnim niewdzięcznikiem, gdyby zwracał uwagi na takie drobiazgi. Okaże on naturalnie wdzięczność radzie miejskiej, która nie zawahała się poświęcić dla ministra w ofierze głowy świętego na dowód gościnnego powitania. I tak prezydent Fallieres ocalał głowę Soleilanda, a rada prowincynalna ścina głowę św. Wincentego.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 27-go października 1667 uroczysty wjazd posłów polskich do Moskwy. — 1773 protestacya przeciw rozbiorowi Polski. — 1794 bitwa pod Kobyłką.

Dnia 28-go października 1410 bitwa z Krzyżakami pod Tucholą. — 1423 statut Władysława Jagiełły ogłoszony. — 1561 hołd księcia kurlandzkiego. — 1617 zawarta przeciw Moskwie ugoda z Kozakami.

Dnia 29-go października 1424 urodzenie Władysława Warneńczyka. — 1611 Żółkiewski przedstawia Szujskich na sejmie w Warszawie.

Dnia 30-go października 1432 potwierdzenie praw i przywilei wołyńskich. — 1599 Zygmunt III. z powrotem z Szwecyi przybywa do Gdańska. — 1657 traktat bydgoski.

Dnia 31-października 1432 nadanie praw teutońskich Ormianom w Polsce. — 1564 Husytom zostawiona wolność wyznania.

Dnia 1-go listopada 1320 pobicie Krzyżaków. — 1733 posłowie Augusta III. podpisują elekcyą. — 1769 bitwa pod Lanckoroną.

Dnia 2-go listopada 1390 hołd Wrócisława, księcia pomorskiego. — 1794 Moskale oblegają Pragę. — 1848 zbombardowanie Lwowa.

Humor i satyra.

Sielanka.

Prala Kaśka szmaty,
Stukala kijanką.
I przyszedł nad rzekę
Pędziwiater Janko.

Przyszedł Pędziwiater,
Począł zęby szczerzyć,
Musiała go Kaśka
Kijanką przemierzyć.

Idźże sobie teraz
Na karku złamanie,
Idźże Pędziwiatrze,
Kiedyś dostał pranie.

* * *

Przyczynek do sprawy kobiecej.

Dama: Przedewszystkiem kobiety powinny być dopuszczane do adwokatury, do tytułu doktora obojga praw.

Interlekutor: Obojga praw? Jak to pani rozumie?

Dama: A no: praw męskich i praw kobiecych.

* * *

W restauracji.

— Panie gospodarzu, tak drogo i źle jeść dajecie, że wkrótce tutaj nikt przychodzić nie będzie.

— O, niema strachu! Gości jest dosyć... Miesięcznie worek soli wychodzi.

— W to wierzę... Połową solicie potrawy, drugą zaś rachunki, podawane gościom.

* *

Podstawowa przyczyna.

— Wiesz co, wczoraj udał mi się znakomity dowcip.

— Więc cóż z tego?

— Dobryś sobie!... Rozumie się, otwieram zaraz nowe pismo humorystyczne.

* * *

Rękawy i cylindry.

On: Wasza moda jest niedorzeczna. Co za cel tych rękawów bufiastych, napełnionych pustką?

Ona: Taki sam, jak waszych — cylindrów.

* * *

Małżeńska jedność.

— Coś taka smutna żonusiu. Czy ci co dokucza?

— Tak, bo przeczuwam chorobę w domu.

— A to zkąd takie przypuszczenie?

— Bo widzisz, tyś jadł surowe owoce, a ja napiłam się zimnej wody, boję się więc teraz, aby nam to nie zaszkodziło?

* * *

Naturalne.

(Ulicą idzie niemłode już małżeństwo).

— Patrzaj, mężu, przeszedł pan Wincenty, co w zeszłym tygodniu owdowiał!... ale dobrze wygląda!

— Naturalnie, przecież to nie on umarł, tylko jego żona...

* * *

U adwokata.

Adwokat. Więc chce się szanowny pan koniecznie z żoną rozwieść?

Mąż. Jeszczeby... Pan nie ma pojęcia, co ja z nią przechodzę... Traktuje mnie jak psa i każe pracować jak koniowi.

Adwokat. W takim razie, nic panu pomódz nie mogę, udaj się pan lepiej do towarzystwa opieki nad zwierzętami.

Magiczny kwadrat liczbowy.

Ułożył czytelnik „Pracy“, Józef Cenzorowski z Krosna w Galicyi.

212	487	59	121
487	59	212	121
59	212	487	121
487			

W pola powyższego kwadratu należy wstawić liczby: 212, 487, 59, 121, tak, aby z góry na dół, w popszek i w skośno, ogólna liczba zawsze wynosiła 879 z każdej strony.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 2-go listopada włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie *uwzględnimy.*

Rozwiązanie łamigłówki rombusowej z nr. 40-go:

K
o s a
o w i e s
k s i ą ż k a
g r e z d a n i e
w ó z D r z y m a ł y
M a r e k S O b i e s k i
K s i ą d z O l s z e w s k i
Ś w i ę t a S a l o m e a
L e s z c z y ń s k i
I z r a e l i c i
s e r w e t a
j a s y r
o k o
i

Ksiądz Olszewki.

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. T. Pospieszalska, Janek z pod Góry Przemysława, L. Ludkowski, J. Latanowicz; *z prowincyi:* pp. E. Mieloszyński, M. Zydlewicz, St. Mikołajczk ze Śremu, F. Spychalski ze Środy, F. Lewandowski z Pleszewa, H. Jęsiek z Kostrzyna, Marya Schulz i J. i A. Kozłowskie ze Stęszewa, F. Chytry z Kobylina, M. Sławski z Wielichowa, Stanisława Dąbkiewicz z Gniezna, Urbanowicz z Krotoszyna, Jan Krysiński z Nakła, Kostek Puknijsię z Mełpina, Fr. Nawrocka z Żabiczyna, J. Owieśniak z Łuszczanowa, St. Pietrzak z Strzyżewa kośc., T. Wrembel z Rudek, B. Ruge z Kruszewa; *z Prus Zachodnich:* pp. W. Lipińska z Brus, J. Surowy z Pelplina, Fr. Mówiński z Skarlina, Jan Litwiński z Brzuszcz; *z obczyzny:* pp. S. Wegner z Berlina, J. Woźniak z Charlottenburga, L. Mąkowski, F. Gruszczak z Witten, J. Kaźmierczak z Bruckhausen.

Nagrodę otrzymali: pp. L. Ludkowski z Poznania, Jan Krysiński z Nakła i L. Mąkowski z Witten.

MICHAŁ BAŁUCKI.

Ostatnia stawka.

(7) (Ciąg dalszy).

Takie pogłoski rozchodziły się po Iwoniczu. Maurycy kilka razy miał sposobność słyszeć to i dziwiło go, zkąd one wyjść mogły. Nie przypuszczał, że to pani Solska sama tak zręcznie umiała wyrobić opinię sobie i siostrzenicy. On wiedział tylko tyle z własnego doświadczenia, że ciocia lubiła zaciągać długi i nie płacić ich; ale ponieważ to nie jest wyłączny przymiot ludzi, nie mających pieniędzy, ponieważ wreszcie mógł mniemać, że ciocia mogła zapomnieć o takiej drobnostce, jak kilkaset guldenów; więc nie miał jeszcze żadnego powodu podejrzywania prawdziwości pogłosek o świetnym stanie majątkowym. Prawdopodobnie i Molski nie miał tego podejrzenia i dlatego zdecydował się na krok stanowczy.

Równocześnie przypomniał sobie Maurycy, że ciocia raz w rozmowie z nim wspomniała coś o majątku Molskiego. To wprowadziło go na myśl, czy przypadkiem i z tamtej strony nie liczą na coś. Przyszły mu na myśl jego dawne wyobrażenia o pannach wędrownych i zaczął przypuszczać, czy Julia przypadkiem nie należy do tej kategoryi, które podróżują dla złudzenia konkurentów pozorami zamożności, po-za którą kryje się golizna. W każdym razie przewidywał, że któraś strona dozna zawodu; ale która? Prędzej kobieta, bo co się tyczy Molskiego, miał dobre wyobrażenie o jego sprycie i był pewnym, że na pozory złapać się nie da. Może i cieszył się skrycie takiem rozwiązaniem komedyi małżeńskiej, bo w duszy żywił pewną urazę do Julii za to, że, mając do wyboru między Edmundem i Molskim, oddała pierwszeństwo temu ostatniemu. Ten wybór zniżył jej wartość w jego oczach; widział, że mylił się, stawiając ją wyżej w swojem mniemaniu, że ona tyle warta, co inne, i dlatego radby był, aby się zawiodła w rachubach swoich i została tym zawodem ukaraną.

Rozmowa, jaką miał w parę dni potem z Molskim, naprowadziła go na przypuszczenie, że, kto wie, czy jego przewidywania się nie spełnią. Rozmowa ta tyczyła się małżeństwa.

Maurycy spytał Molskiego, czy to prawda, co mówią o nim po całym Iwoniczu?

— Że się żenię?

— Tak. Z panną Julią.

— Prawda. Czy cię to dziwi ? Wszak mówiłem ci, że panna Julia zrobiła na mnie od pierwszego razu nadzwyczajne wrażenie. Gdy jestem przy niej, doznaję takiego uczucia, jakbym był w ciepłej kąpieli: tak mi jakoś dobrze, błogo, a nawet powiem ci, że przy niej czuję się lepszym a przynajmniej skorszym do zrobienia czegoś dobrego.

— Czyli, że się zakochałeś. No, w tem niema nic nadzwyczajnego. W kim-że ty się już nie kochałeś. Ale nie przypuszczałem, że się aż oświadczysz.

— No i oświadczyłem się nieraz, nie mając wcale myśli żenienia się. Ale tym razem myślę o tem całkiem seryo. Widocznie zestarzałem się, bo małżeństwo zaczyna mieć dla mnie pewien urok, zaczynam doznawać potrzeby trwalszych uczuć. Przelotne miłostki już mnie nie zadawalają, i prawdę powiedziawszy, już coraz rzadsze spotykają mnie sukcesa w mojej Donżuańskiej karyerze. Dawniej kobiety starały się o mnie, dziś ja staram się o nie, a nawet często płacić już muszę za chwilowe względy, jak naprzykład Antoanecie. Czas więc pomyśleć o stałej emeryturze, o zabezpieczeniu sobie ciepłego serca i ciepłego kominka. Tracę mało, bo resztki kawalerskiej wolności, a zyskać mogę wiele, bo panna Julia posiada wszystkie warunki na dobrą żonę. Jest piękna, młoda, rozumna, stan jej majątkowy musi być także niezły. Czy ty nie wiesz nic pewnego w tym względzie?

— Mniej od ciebie. To jednak powinno być dla ciebie rzeczą podrzędną.

— A dyabła tam! To najważniejsza. Ciepłe serce nie wystarcza, potrzeba jeszcze ciepłego kominka, to jest komfortu, wygód, zabezpieczenia przyszłości. Ja pracować nie umiem, ani też nie mam ochoty; więc, gdyby Julia nie miała odpowiedniego majątku...

— To żylibyście z twojego.

— Na księżycu?

— Wszak masz podobno własny majątek?

— Ja? — spytał mocno zdziwiony Molski. — Tobyś ty przecież wiedział o tem.

— Myślałem, że masz powody ukrywania tego przedemną.

— W takim razie nie był-bym się przecież uciekał do tak ostatecznego środka, jakim było owo zaciągnięcie u ciebie przymusowej pożyczki.

— Mogłeś to zrobić, bo majątku tego nie masz jeszcze w rękach, ale po śmierci twej ciotki...

— A, o tem mówisz! — zawołał Molski, uderzając się w kolano. — Mój drogi, z tego spadku śladu już nie zostało.

— Jakto? Wszakże ciotka ma dożywocie na nim i ten majątek jest dotąd w jej ręku.

— Tak, ale znalazł się taki amator, który prawa sukcesora kupił odemnie za pół darmo, a że ja wtedy potrzebowałem pieniędzy, więc zdecydowałem się łatwo na to. To już tak dawno, że miałem czas zapomnieć o tem. Ale, mój drogi, kto ci mówił o tym spadku?

— Pani Solska.

— Ciocia! — wykrzyknął głośno Molski. — A! teraz rozumiem wiele rzeczy, których sobie wyjaśnić nie umiałem. Więc-by one miały rachować na mnie? — mówił jakby do siebie, tonąc w głębokiem zamyśleniu — a toby było fatalnie?

— Czemu?

— Bo w takim razie musiał-bym przypuścić, że i kapitały panny Julii są równie fikcyjne, jak mój spadek i że one rachowały na mnie. W takim razie oboje grubo-byśmy się przerachowali. Tak, to jest prawdopodobne; skoro ciocia zasięgała wiadomości względem mojego majątku, to już źle. O! fatalnego mi klina wbiłeś w głowę. Tej sytuacyi nie przewidziałem. Zdawało mi się, że pod tym względem mogę być zupełnie bezpieczny. Z tego, co słyszałem nieraz od cioci, mogłem napewno wnioskować, że panna Julia należy do posażnych panien. Teraz widzę, że zanadto byłem pewny. Trzeba będzie zasięgnąć bliższych informacyi na miejscu. Mam w tamtych stronach dawnego kolegę szkolnego; ciocia raz wspomniała nawiasowo, że jest ich sąsiadem. Napiszę do niego — on będzie najlepiej wiedział i da mi najdokładniejsze wyjaśnienie. Tymczasem trzymać się muszę w rezerwie.

Pomimo tego postanowienia, Molski nie przestawał bywać w domu pani Solskiej i więcej jeszcze, niż dawniej, potęgował swoje uczucia dla panny Julii. Postępowanie jego wcale nie wyglądało na rezerwowe. A gdy Maurycy raz zrobił mu tę uwagę, odpowiedział mu na to:

— Chciałem trzymać się zdaleka, aż do wyjaśnienia tej sprawy; ale, niestety, przekonałem się, że moja skłon-

ność do Julii silniejsza jest, niż wszelkie wyrachowanie. Wiem, że brnę, że mogę się fatalnie zaplątać, a jednak nie mam siły wycofać się z tego stosunku. Jakaś dziwna siła pociąga mnie do tej kobiety, nie mogę sobie wyobrazić życia mego w przyszłości bez niej; ale ile razy pomyślę sobie, że ta konieczność przyjść może, robi mi się jakoś pusto, ciemno w duszy. Nie doznawałem nigdy dawniej tego uczucia. Wiesz, że traktowałem zawsze dość lekko sercowe sprawy, zawiązywałem je bez entuzyazmu i zrywałem bez żalu; gdy tymczasem tu nie mogę oswoić się z tą myślą, żeby Julia mogła nie być moją, mogła zostać żoną innego, czuję coś podobnego do zazdrości. Sam nie wiem, co mi się stało. Czy to skutki starzenia się, czy coś gorszego. Bądź-co-bądź, postanowiłem ożenić się.

— Nawet, gdyby się pokazało, że Julia nie ma nic.

— Nawet wtedy. Wszak nie mam nic do stracenia. To, co mi zostało z wygranej w Monaco, wystarczy mi na miesiąc, a może i dłużej. Przez ten czas zakosztuję przyjemności małżeńskiego pożycia, sprobuję, jak smakuje miłość uczciwej kobiety. Tego specyału nie znałem w życiu.

— A potem?

— Potem... potem... albo w łeb sobie palnę, albo odwiozę żonę do rodziny, a sam puszczę się w świat i będę żył, jak dotąd.

— Ależ to przecież nieuczciwie robić taki zawód kobiecie.

— A ona czyż mi nie robi zawodu? Z obu stron jest ryzykowna spekulacya: ona stawia na kartę swoje panieństwo, ja moję wolność kawalerską; jeżeli oboje się zwiedziemy, nie będziemy sobie nic winni. Przynajmniej ja nie będę sobie miał nic do wyrzucenia. Daję wszystko, co mam, na tę ostatnią stawkę.

To wyznanie, wypowiedziane z rozpaczną brawurą i fantazyą, wprawiło w pewien kłopot Maurycego. Przychodziło mu bowiem nieraz na myśl, czy nie było-by jego obowiązkiem przestrzedz Julią, by tak lekkomyślnie nie oddawała przyszłości swojej w ręce człowieka, nie dającego żadnej gwarancyi. Ale po głębszej rozwadze uważał, że ta troskliwość jest zbyteczną.

— Po co mam — mówił sobie — bawić się w jakiegoś ducha opiekuńczego, kobiety, która niczem nie zasłużyła na to, która lada wietrznika przeniosła nad człowieka uczciwego i prawdziwie do niej przywiązanego.

Myślał tu o Edmundzie, bo siebie już stanowczo wyrzucił z tej sprawy; przynajmniej tak sam siebie łudził, że występuje tylko jako rzecznik Edmunda, i że tylko przez przyjaźń dla niego oburzał się na postępowanie Julii.

Zresztą choćby i przestrzegł ją, to któż mu zaręczy, że Julia uwierzy temu, że nie wyśmieje jego pieczołowitości. Te uwagi zamknęły mu usta. Postanowił milczeć i czekać. Trzymając się już całkiem zdaleka od tych pań, obserwował z pewną złośliwą radością postępy miłosnego stosunku między Molskim i Julią, jak myśliwy zwierzę, zbliżające się w zastawione sieci. Cieszyło go, że się ktoś złapie na przynętę.

Obserwacye te tak go zajęły, że zapomniał całkiem o Edmundzie i o dniu jego przybycia. To też doznał niemałego zdziwienia, gdy jednego dnia wszedł nagle do jego mieszkania Edmund.

— Ty tu? — spytał, witając przyjaciela, który z twarzą rozpromienioną, wesołą, zbliżał się ku niemu.

Ciebie to dziwi? Wszakże sam pisałeś, aby pierwszego stanąć koniecznie.

— Więc dziś już pierwszy? Prawda, zapomniałem o tem zupełnie.

— Więceśce się dziś mnie nie spodziewali? Tem lepiej. Zjawię się jak *deus ex machina*.

— Czy panie zdrowe?

— Zdrowe — odrzekł dosyć chłodno Maurycy.

— Więc będą na balu?

— Zapewne.

— Przywożę im sprawunki. Zdaje mi się, że powinny być z nich zadowolone. Wyszukałem dla panny Julii kwiaty, o jakich nie myślała; do Feintucha przyszedł właśnie świeży transport z Paryża. Coś cudownego, powiadam ci.

Służący, obładowany pudełkami i tłomoczkiem, ukazał się we drzwiach.

— Czy tu mam złożyć? — spytał.

— Kuferek tu postawcie — rzekł Edmund, a zwracając się do Maurycego dodał — bo wszakże przyjmiesz mię na tę noc, zanim wyszukam sobie mieszkanie?

— Możesz nawet i na dłużej. Jest miejsca dosyć, pomieścimy się.

— A, nie, nie chcę nadużywać twej gościnności. Wiem, że lubisz wygodę i samotność; nie myślę ci przeszkadzać. Tylko na tę noc wpraszam się do ciebie .

— A te pudełka gdzie postawić? — zapytał znowu służący.

— Te pudełka? zaraz, zaraz, Maurycy... powiedz mu, gdzie mieszkają nasze panie, mógłby zaraz tam zanieść. Albo zaczekaj, ja sam z nim pójdę.

— Napróżno-byś chodził; te panie, zdaje mi się, wyjechały na spacer.

— Wyjechały? Więc naprawdę przypuszczały, że mogę dziś nie przyjechać?

— Wyjechały, czy też wyszły, nie wiem tego napewno — odrzekł Maurycy, unikając odpowiedzi na ostatnie pytanie.

— Więc postaw je tutaj — rzekł Edmund do służącego i, zapłaciwszy mu, odprawił go z pokoju.

— Mam tu jeszcze coś — odezwał się po wyjściu służącego — co sprawiłem bez polecenia. O, patrz!

To powiedziawszy, otworzył jedno pudełko i pokazał Maurycemu przepyszny bukiet z samych storczyków i białych róż, opakowany w wilgotnym mchu.

— Prawda, że ją to ucieszy? Będzie to bukiet bardzo odpowiedni do jej ubrania; umyślnie kazałem dać róże nierozwinięte, by na pojutrzejszy bal mogły być jeszcze świeże. Wszak bal nieodłożony?

— Nie.

— Więc dobrze się wszystko składa. Storczyki nie zwiędną tak prędko, a róże właśnie się rozwiną. Panna Julia będzie mogła pysznić się tym bukietem. Żadna z tutejszych dam nie będzie mogła pochwalić się podobnym. A kobiety lubią przesadzać się w tym względzie. Muszę zamknąć pudełko, żeby ciepłe powietrze nie szkodziło kwiatom.

Pokrył bukiet delikatnie, ostrożnie mchem i zamknął pudełko.

Maurycy, patrząc na tę młodzieńczą, dziecinną prawie radość Edmunda, nie miał odwagi powiedzieć mu prawdy. Ten człowiek przyjechał tu z taką wiarą w szczęście, nie miał nawet cienia domysłu, że tu zastanie coś złego, — i jak mu tu powiedzieć: rzuć ten bukiet, bo ta, dla której go wiozłeś tyle mil, z taką starannością, z takiem uczuciem, jest dziś narzeczoną innego. — Maurycy znał dobrze wszystkie boleści takiego nagłego rozczarowania i dlatego nie mógł zdobyć się na wyjawienie mu wszystkiego. Był w kłopocie, o czem z nim mówić, jak odpowiadać na jego pytania, gdy

na szczęście przed dom zajechała remiza, a z niej wysiadła pani Solska, Julia i nieodstępny Molski. Edmund, zajęty zamykaniem pudełka, nie widział ich. Maurycy nie spieszył powiedzieć mu tego. Dopiero gdy towarzystwo weszło do domu, odezwał się do Edmunda:

— Zdaje mi się, że te panie wróciły już ze spaceru.

— Zkąd wiesz? — spytał żywo Edmund, podnosząc głowę.

— Remiza stoi przed domem, a na górze słyszę ich kroki.

— Więc one tu mieszkają? Tu, nad nami? Ach, jak to dobrze! Jak ty to ślicznie wszystko urządziłeś! Mieszkać tak blisko niej — to także szczęście. Pójdziemy zaraz do nich, tylko się trochę z kurzu oczyszczę.

— Masz tu miednicę i wodę, i szczotkę, i wszystko, co potrzeba; służącego zaraz ci przyślę.

— Jakto? ty wychodzisz?

— Mam interes bardzo pilny — odrzekł, nie patrząc w oczy Edmundowi.

— Pewnie jakie słodkie *rendez-vous?* ej, figlarzu... cóż? zgadłem?

— Być może.

— Ale później przyjdziesz do naszych pań?

— Być może, jeżeli tylko będę mógł. Do widzenia!

To powiedziawszy, wyszedł co prędzej z mieszkania, by uniknąć dalszych pytań Edmunda i nie zdradzić się przed nim jakiem niebacznem słowem. Wolał, żeby on sam dowiedział się o wszystkiem na miejscu i własnemi oczyma zbadał położenie rzeczy. Miał przytem nadzieję, że może przybycie Edmunda wpłynie na Julią, że wobec niego zmieni się jej usposobienie dla Molskiego i cała rzecz jeszcze szczęśliwy obrót wziąć może. Dlatego też nie chciał go uprzedzać; całą sprawę zostawił biegowi wypadków i usunął się, nie chcąc nawet być świadkiem rozgrywanego dramatu, ale myśl jego ciągle była tam. Uprzytomniał sobie wejście Edmunda, odczuwał wrażenia, jakich doznawał w tej chwili. Nie potrzebował wiele imaginacyi do tego, dość mu było odwołać się do własnej pamięci. I on był nieraz w podobnem położeniu, miał podobnie przykre przejścia w życiu, i dlatego miał litość i współczucie dla Edmunda.

Długo tak wałęsał się po lesie, trapiony różnemi myślami, tworząc różne domysły i wnioski, to smutne, to szczęśliwe. Gdy wracał do siebie było już dobrze ciemno. Edmunda nie zastał jeszcze w domu. Zapalił świecę, wziął książkę i usiadł do czytania. Niewiele wiedział z tego, co czytał, bo uwaga jego zwróconą była w górę na sufit, za którym odgrywał się dramat. Z poruszenia mebli, z kroków, które go dochodziły, próbował odgadywać sytuacyą osób i przebieg działania.

Nareszcie drzwi się otworzyły i wszedł Edmund. Był blady, zmieszany, odurzony, wzruszony. Maurycy nie potrzebował go pytać, — z twarzy jego wyczytał wszystko. Spuścił oczy na książkę i udawał, że czyta. Edmund zbliżył się do niego; zatrzymał się tu przed nim i spojrzał na niego wzrokiem dziwnym, nieprzytomnym prawie. Maurycy nie mógł udać, że go nie widzi; podniósł głowę i, aby coś powiedzieć, zapytał go:

— A co? wróciłeś już?

— Maurycy! co się tu stało? — spytał Edmund, nie spuszczając z niego oczu.

— Z czem?

— Z Julią? Ja jej nie poznaję. Kto jest ten jegomość, którego tam zastałem?

— Czy was nie przedstawiono?

— Nie. Panna Julia tak bardzo była zajętą tym panem, że nie miała nawet czasu na to. Kto on jest?

— To Molski.

— Ten, ten Molski, ten szubrawiec, który ci skradł pieniądze?

— Już je zwrócił.

— To nic nie znaczy; zawsze to była kradzież. I ten człowiek ośmielił się bywać u tych pań! Jak mogłeś pozwolić na coś podobnego?

— Nie ja go tam sprowadziłem.

— Ale twoim obowiązkiem było przestrzedz te panie, co to za człowiek.

— Skąd-że ja mam prawo narzucać się tym paniom z opieką i przepisywać im, z kim mają żyć, z kim nie? Zdaje mi się, że te panie muszą mieć lepsze wyobrażenie o Molskim, niż ja i ty, skoro jego towarzystwo przeniosły nad inne, a nawet pozwoliły mu bywać w roli konkurenta.

— Jakto? aż do tego doszło?

— Dalej jeszcze, mój drogi: jest już podobno narzeczonym.

— Kto ci to powiedział? — zawołał Edmund, blednąc.

— Wszyscy już o tem wiedzą.

— A, to okropność! To coś potwornego! — jęknął Edmund, przygnębiony temi słowami. Nogi się pod nim zachwiały i usiadł, a raczej upadł na kanapę, kryjąc twarz w dłoniach. Maurycy usłyszał spazmatyczne łkanie. Ze współczuciem i rozrzewnieniem patrzał na cierpiącego czas jakiś, potem wstał i zbliżywszy się do niego, odezwał się łagodnie:

— Edmundzie! nie bądź dzieckiem. Ta kobieta niewarta łez twoich; nie rozpaczaj. Przypomnij sobie, com ci mówił o pannach wędrownych. Ona nielepsza od innych. Szukała tylko sobie męża, partyi dobrej, a że, mając do wyboru między tobą a tamtym, jego wybrała — to dość wyraźnie świadczy o guście i wyobrażeniu tej kobiety. O taką nie masz co rozpaczać. Lepiej, żeś wcześniej poznał się na niej. Ochroniło cię to od wielu późniejszych rozczarowań. I ja w ten sposób zawsze się pocieszałem. Pogardą leczyłem rany serca. I ty tak zrób.

Edmund nic nie odpowiedział, prawdopodobnie mało co słyszał z tego, co mu Maurycy mówił, bo, zamiast się uspokoić, zerwał się po chwili gwałtownie z kanapy i zawołał z zapałem:

— Nie, tak zostać nie może! Pójdę, powiem im wszystko, zdemaskuję go w ich oczach; wyjawię jego niecne sprawki, nie wyłączając tej podłości, jakiej się dopuścił na tobie. Wszak upoważniasz mnie do tego?

— Jeżeli sądzisz, że ci to wróci pannę, to zrób z tego użytek, lubo cię przestrzegam, że cię to do celu nie doprowadzi. Jedynie narazić się możesz na pojedynek z Molskim, ale u panny nic nie wskórasz. Nie znasz kobiet. Miłość kobiety, a raczej namiętność, bo prędzej to uczucie przypuszczam u niej... otóż namiętność kobiety nie pyta o kodeks kryminalny, i jeżeli pokocha, to kochać będzie choćby zbrodniarza.

— A jeżeli nie kocha? Jeżeli tu tylko interes gra rolę?

— To jeszcze gorzej, bo nie będzie chciała stracić świetnej partyi, za jaką może uważa Molskiego.

— Postaram się, żeby w to nie wierzyły. Jeżeli rzeczywiście w ten sposób udało mu się podejść je, co łatwo mi będzie przekonać te panie, że je oszukano.

— Ha, zrób próbę. Może ci się uda.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Szanownym pp. destylatorom i fabrykantom likworów podaję do łaskawej wiadomości, iż z dniem **1. października rb.**

otwieram w Poznaniu przy ul. św. Łazarza nr. 1

fabrykę essencyi, olejków eterycznych

i farb do likworów

pod firmą

Józef Grześkowiak.

Fabrykę urządzam podług najnowszych systemów itd. — Zarazem pozwolę sobie zwrócić uwagę na mój 333

import araków, rumów i koniaków.

Polecając się łaskawym względom upraszam o poparcie mego przedsiębiorstwa.

Z wysokim szacunkiem

Józef Grześkowiak.

Sprzedamy pod korzystnemi warunkami:

1. **folwark** w pow. Wrzesińskim ca 350 mórg z kompl. budynkami i inwentarzem.

2. **folwark** w pow. Międzychodzkim o 266 morgach z wodnym młynem i kompletnym inwentarzem.

3. **folwark** ca 346 mórg w pobliżu Poznania; budynki wszystkie murowane, nowe, inwentarz kompletny.

4. **folwark** w okolicy Trzemeszna o 490 morgach z murowanemi budynkami, kompletnym inwentarzem i prawie pełnym zapasem żniwnym,

Wszystkie cztery folwarki przy wpłacie po 36,000 Mk.

5. **kilka gospodarstw** dobrych w pobliżu Pogorzelic (Neudorf a. Berge) od 30, 50, 75 do 100 mórg przy wpłacie wedle ugody.

6. **Dom w mieście powiatowem** na Kujawach i około 11 mórg ogrodów przy wpłacie 3500 mk.

7. **Place budowlane** w Szamotułach z wyskarzonym konsensem do budowli przy wpłacie po 500 marek.

8. Na Warmii pod Olsztynem (Allenstein O.-Pr.) kompletny **folwark** o 516 morgach po 200 marek przy wpłacie 30,000 marek, i tamże

9. pod Gietrzwałdem **kompletne gospodarstwo** 80 morgowe — stacya kolejowa i szkoła w miejscu przy wpłacie 5000 marek.

10. **Dwa folwarki** na Górnym Śląsku o 500 i 1200 morgach przy wpłacie 60 000 mk. resp. 150,000 mk.

Folwark ostatni da się na trzy części podzielić.

Adres:

Bank Parcelacyjny,

Posen, Viktoriastr. 12.

Wdowa

...ednich, bezdzietna, mi... ...wierzchowności, posia... ...w gotówce 18 tysię... ...rek życzy sobie wyjść

za mąż.

...widzianym byłby ...Polak, wdowiec w... ...wieku, a najchętni... ...który ma stósowny majątek w gotówce lub nieruchomości na wsi lub w małem mieście. 344

Upraszam w celu zaznajomienia się podać swój dokładny adres pod lit **M. W. 107.** Postlagernd **Schmiegel** (Bez. Posen.) 344

Kawaler

przystojny, lat 3?, malarz, poszukuje na tej drodze

ŻONY.

Panny lub młode wdówki średniego wzrostu miłego usposobienia, samodzielne krawcowe lub z podobnem przedsiębiorstwem, któreby chciały wyjść zamąż do Berlina zechcą łaskawe zgłoszenia z podaniem wieku i dołączeniem fotografii nadesłać pod adresem **S. S. 36.** Postlagernd. Berlin W. Neue Winterfeldstr. 14.

Dyskrecya, zwrócenie fotografii zapewnione.

Zpowodu stusónków familijnych porzukuję dla mej wychowanki, 22 lat, miłej powierzchowności, biegłej w zawodzie kupieckim odpowiedniej

partyi,

za kupca lub biegłego rzemieślnika. Cokolwiek majątku potrzebne, lecz najgłówniejsze uczciwe i religijne życie. Reflektanci racz się zgłosić z załączeniem fotografii i podaniem bliższych stosunków pod literą **M. B. Postlagernd Gnesen** do 1-go Listopada.

W. Sulicki

POZNAŃ, Plac Wilhelmowski nr. 10.
Telefon 1725. 41

Skład futer, kapeluszy i fabryka czapek.

Polecam w wielkim wyborze **futra męskie i damskie, kołnierze, garnitury dla dzieci, czapki futrzane, mufki do polowania, koce, kieszenie do nóg, dywaniki** i wszelkie wyroby w zakres kuśnierstwa wchodzące.

Zamówienia na futra męskie i damskie, kabatki, także rewerendy futrzane dla Przewielebnego Duchowieństwa, wykonuję podług miary, pod osobistem kierownictwem w najnowszych fasonach i gwarancyą dobrego leżenia, również **reparacye** uskuteczniam szybko i tanio.

Także polecam:

kapelusze, cylindry, szapoklaki i kapelusze dla chłopców z pierwszorzędnych fabryk światowych.

„Gleba“

Bank rolniczy, Tow. akc.

Poznań, ul. Szkólna 11, — poleca

Węgle,
Saletrę chilijską na r. 1907, 1908, 1909,
Superfosfaty,
Zużle Thomasa, „Sternmarke,“
Kainit,
Wapno do budowli i na nawóz,
Rozmaite pasze,
Wszelkie potrzeby gospodarcze

w wyborowych gatunkach po cenach umiarkowanych. 348

Zupełnie bez konkurencyi
jedyny polski zakład poleca

Wyroby z włosów





w najlepszem wykonaniu, jako to: **warkocze** począwszy od 2—20 mk., **peruczki** do modnego czesania się i dla rzadkich włosów od 4 mk., **przedziałki** dla starszych pań od 5 mk. i jakiekolwiekbądź dodatki do włosów.

Czesanie 75 fen.

St. Wenzlik,

fryzyer damski i perukarz, premiowany w Paryżu w r. 1902, w Londynie w r. 1904 etc. najwyższemi nagrodami.

Poznań O., 19 ul. Wilhelmowska 19 obok składu pana Michalskiego.

Ażeby zawodu uniknąć uprasza się uważać na nazwisko i numer domu.

P. S. **Zamówienia z prowincyi** po przesłaniu próbki włosów wyczesanych, wykonujemy odwrotną pocztą. — Własne wyczesane włosy mogą byę wypracowane. — **Illustrowane cenniki na żądanie franko.** (282)

DARMO

daję recepty do fabrykacyi sztucznych win

A. Szmytkowski,

Pniewy (Pinne Pr. Posen)

Destylacya i fabryka likierów

poleca po niskich cenach 767

Jubileuszówkę

wyborną wódkę deserową, odznaczoną na wystawie w Bordeaux, na wystawie hygienicznej w Poznaniu złotym medalem i przeszł. roku na wystawie kucharskiej w Poznaniu srebrnym medalem, oraz wszelkie inne wyroby moje jako to znakomite **nalewki, wódki gdańskie, żołądkowe, alpejską, araki, rumy i francuzkie koniaki.**

„Praca“

kosztuje kwartalnie tylko 1,50 mk.

Nakładem i drukiem „Pracy“ Drukarni Nakładowej Sp. z ogr. p. — Redaktorzy odpowiedzialni: Za dział polityczny, wiadomości i dział illustrowany p. Bolesław Rakowski z Poznania, za dział ogłoszeń p. Wincenty Szmytkowski, z Poznania.